



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

Cena 75 gr — 12 stron

Warszawa, 26 sierpnia 1951 r.

Nr 34 (74) Rok II

W NUMERZE m.in.: Tadeusz Kubiak — Patrząc na Zachód; Arnold Slucki — Berlin (wstęp do poematu); Henryk Gaworski — Refleksja berlińska; Egon Naganowski — Raport z pola walki; Nazim Hikmet — Z cyklu „Wyszedłszy z więzienia”; Daniel Trylewicz — W sprawie przekładów; Piotr Borowy — Szóste lato filmowe; Jerzy Skórnicki — Wśród przekładów z literatury czechosłowackiej; Czechosłowackie państwowe nagrody literackie w r. 1951; Aurel Baranga — Głos Ameryki; Literatura ludowej Rumunii; Jerzy Słiziński — Pionier czeskiej sztuki socjalistycznej; Zbigniew Żabicki — Epopeja węgierskiej wsi; Marceli Ranicki — Powieść o włoskim Ruchu Oporu; Leonard Życki — Narodziny fabryki cementu; Ludwik Gomolec — Bunt chłopów wielkopolskich przed 300 laty; Stanisław Brodzki — „Polskie” koncepcje anglosaskich wywiadów.

ANDRZEJ BRAUN, TADEUSZ KONWICKI
ANDRZEJ MANDALIAN, WIKTOR WOROSZYLSKI

W B E R L I N I E

Nie publikujemy fragmenty notatek, spisanych przez naszych współpracowników, uczestników III-go Światowego Zlotu Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie. Powstały one na gorąco, pod bezpośrednim wrażeniem wielkiego Festiwalu. Do berlińskiego Zlotu i związanych z nim zagadnień wrócimy jeszcze w najbliższych numerach naszego piśmie.

SWIT

Kiedyś zbliżaliśmy się do granicy niemieckiej, była noc. W Słubicach wśród zrujnowanych domów płynęła milcząca czarna, migająca iskrami obdylana i świecąca rzeka. To była rzeka, która na nas od rana. Teraz była godzina druga w nocy. Nie mogło osłabić ich zapachu. I to pierwsze zetknięcie się z Nowym światem. Wpadliśmy w gęszczące się drzewa, ogarnął nas gorący oddech, mieliśmy w oczach. To nie było opanowanie, to było zwycięstwo. Powitanie zagranicznych kolegów, to był wulkan miłości, radości, zapachu. Było ciemno. Przyszło nam uścisnąć tych ludzi, wielkich, zgrubiałych, szorstkich, aby wiedzieć z kim mamy do czynienia. Wystarczyło zobaczyć twarze w blasku latarni. To młodzi robotnicy i chłopcy z Niemiec.

Noc okrywała ruiny nad granicą. Powoli na wschodzie zaczęło świtać, szary brząsk wyłaził z wilgotnego cienia zarysów autostrady, mostów, ludzi. Do Niemiec wjeżdżaliśmy w pierwszym blasku wschodzącego słońca.

Dzienne to było i wzruszające, kiedyś wjeżdżaliśmy po raz pierwszy do kraju, który był tak ciepły w ciepłych tonach czarnych i złotych sztandarów, w wielkich koszulach i proletariackich mundurach, tak znajomy i swojski w wielkich dachach, w wielkich miastach, w wielkich radościach, w wielkich funkcjach, w wielkich radościach. Nie było domu, który nie miałby barwnymi paskami miłości, w wielkich sztandarach, nie było ulicy, na której nie migłyby wielkie bluzki F.D.J.

rowskiego barbarzyństwa, wybuchnął na nowo w powiewie Rewolucji Październikowej, przyniesionym na sztandarach zwycięskiej Czerwonej Armii. Ta przyjaźń pomogła Niemcom ze Wschodnich Niemiec zeskrobać z siebie brud faszyzmu i zasiać w wielkiej rodzinie swoich pokoleń, szczęśliwą przyszłość. Ta przyjaźń pomaga nam w Polsce, robotnikom, chłopom, studentom, pracować i uczyć się spokojnie, z tą pewnością, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi nam z zachodniej strony Odry i Nysy. Ta przyjaźń pozwala robotnikom niemieckim odbudowywać ze zniszczenia swoją ojczyznę, lecząc ze schorzenia faszyzmu swoją literaturę, oprzeć się o doświadczenie Wielkiego Kraju Socjalizmu i Polski Ludowej, pozwoli przeciwstawić się wszelkim szantażom atomowym i naciskowi imperializmu amerykańskiego, który tutaj jest szczególnie silny, szczególnie perfidny i operujący całą gamą krzywdzących, skaczących do gardła środków — imperializmu marzącego o tym, aby jeszcze raz pchnąć miliony młodych Niemców na Wschód. Imperializm przyzwoity do Brandenburską Bramą i pałacem z opustoszałych placów Tiergarten na korowody śpiewającej, roztańczonej młodzieży całego świata, na robotniczy efektywny Berlin, skandujący do zachrypnięcia Freundschaft! Freundschaft! Freundschaft!

Ta przyjaźń pozwala nam po raz pierwszy wolać do bohaterów młodzieży Zachodnich Niemiec: Rozumiemy wasze cierpienia, wasza walka jest naszą walką. Amigo home! Ta przyjaźń pozwala młodej murarce z warszawskiego M.D.M.-mu, Stanisławie Szarłinskiej, uczyć murarstwa berlińskiego naszego systemu trójkowego, pokazywać na czym polega „Warschauer Tempo”. Ta przyjaźń pozwala na wymianę naszego dorobku materialnego, dzieł naszej kultury. Ta

przyjaźń pozwala nam wreszcie widzieć w towarzyszach niemieckich, w Wolnej Młodzieży Niemieckiej, oddanych, wiernych towarzyszy naszej światowej walki o pokój, o jaśniejszą przyszłość.

Kiedyś wyszliśmy na pierwszą przechadzkę po ulicach Berlina, zdawało się nam, że idziemy nie ulicą starych czynszowych domów ale szpalierem żywych, wiwatujących ludzi. Ze wszystkich pięt wychylały się głowy ludzkie, do naszych wyciągniętych rąk wyciągały się tysiące rąk ze wszystkich okien, bram i poddaszy. Berlińska ulica pochylała się ku nam z obu stron, kipiła śmiechem, okrzykami, przyjaźnią. Zdawało nam się, że trzymamy się za ręce i ciągnemy za sobą huczące głosami miasto. Nasza piosenka skakała do okien, podrzucana w górę wypełniała wnętrza mieszkań. Ludzie witali się oklaskami i słowem Freundschaft, nikt nie przechodził koło nikogo nie uścisnąwszy mu dłoni. Na Alexanderplatz, popularnym „Aleksie”, trwała przez cały czas Festiwalu nieustająca w dzień ani w nocy zabawa. W morzu niebieskich koszul FDJ wirowały kłęgi różnorodnych ubiorów delegatów całego świata. Młodzież niemiecka umiała się weselić. To nie my przywieźliśmy radość do Berlina — raczej od razu utopiliśmy się w tym wielkim morzu radości, zabawy i śmiechu, jakim był Berlin. Wszyscy chodzili pod ręce. Tańczyli, śpiewali w dziesięciu językach naraz, nikt nie wiedział, w jakim języku mówić, treść była jedna — Freundschaft. I tylko błękitne neony olbrzymimi prostokątami obramowujące świetliste bloki Hansa der Weljugend i tylko niebieskie znaki U-bahnów migotały w tysiącach rozświetlonych twarzach, wilgotnych oczach, błyszczących zębów. Tym razem po raz przycinały łańcuchy trzymających się za ręce korowodów. A stara babcia w kolejce pytała mnie — „Polen?” i ścisnęła gorąco ręce.

12 SIERPNIA

O ósmej rano zagrały fanfary. Mgliste mimo pogody niebo berlińskie zadrżało od huku rozrywających się w powietrzu rakiet. Dziesiątki tysięcy młodzieży z całego świata zerwały się z trybun, potężny okrzyk — westchnienie prze-walił się nad trybunami. Tysiące oczu wpatrzonych w niebo. To był ósmy dzień Festiwalu, dzień pokojowej demonstracji dwóch milionów młodzieży niemieckiej. W górę pękały kolejno rakiet. Z czerwonego kłębu dymu wyłaniało się białe żdźbło spadochronu, który rósł wolno wypełniony powietrzem. Pod nim wyrastał nieoczekiwanie barwny sztandar. Jak napowietrzne statki płynęły nad Placem Marksa i Engelsa sztandary krajów, których młodzież uczestniczyła w Festiwalu. Porywisty wiatr nioś je szybko w rozstępnym nagłym powietrzu. Trzymając się za ręce szukaliśmy oczami naszych ojczy-skich sztandarów.

— Louise Patrz, tam francuski, — wołał polski przodownik pracy podnosząc do góry rękę francuskiej stenotypistki. Było to dziwne, trudne do określenia wzruszenie. Wspanialiśmy się nagle na palce, brakło nam miejsca na olbrzymim berlińskim placu.

Kiedy nad trybunami w ślad za polskim opadł wolno sztandar amerykański, rozwinęły wspaniale na wietrze, nad zachodnimi sektorami Berlina pojawił się amerykański helikopter. Z zadartym ogonem, jak nędzny złośliwy komar, począł tchórzliwie krążyć daleko od demonstracji wśród poczerwiałych dachów berlińskich domów. Nie śmiał pojawić się nad wypełnionym młodą radością placem. W tej samej chwili ludność zachodniego Berlina widziała w górze pod niebem sztandar narodu amerykańskiego, płynący w obłoku sztandarów wolnych i walczących o wolność.

Minął huk pękających rakiet. W nagłej ciszy zatrzępotały skrzydła ptaków. To gołębie pokoju. Coraz ich więcej, przesłaniają niebo, po którym snują się smugi burzych dymów. Nad placem przewala się gwałtowny wielojęzyczny okrzyk, gniewny, potężny: Pokój, Mir, Frieden, Peace, Paix... Stoimy ściśnięci ciasno na trybunie, zadyszani; wśród nas Francuzka Louise, która już poznała smak więzienia, wśród nas jest Kurt z Hamburga, który trzykrotnie usiłował prze-drzeć się przez granicę strzeżoną przez policję zdrajcy Lehra i angloamerykańskich żandarmów. Przepłynął w nocy Elbę, prawie nago dotarł do Berlina na nasze święto.

Rozległy plac Marksa i Engelsa zalewa czerwień. Czerwony wiatr białek kładzie się na białych ścianach trybun. Rzeką czerwień, wysoki, blaszany dźwięk fanfar, rozpoczęła się demonstracja. Olbrzymia fala młodzieży przepływała pod trybunami. Sztandary Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, sztandary wszystkich narodów walczących o pokój, szerokie łany czerwonych szturmówek. Gdzieś z boku bżyka natrętnie amerykański śmiech helikopter. Siedzi w nim kilku zdetonowanych agentów. Nie odważą zbliżyć się do mrowiącego się placu. Będą do końca szpicłowac na peryferiach wielkiego święta, wielkiej demonstracji pokojowych sił.

Słońce wznosi się ku górze, zbliża się już południe. Nieprzerwaną rzeką płynie młodzież niemiecka. Przeszedł już chyba milion dziewcząt i chłopców. Ciasno zapelnione trybuny falują powolnym, ciężkim rytmem. Tylko nad głowami trzepoczą kwiaty chust festiwalowych. Jak silni jesteśmy! Jak bardzo pragniemy, żeby ulice naszych miast widziały jedynie pochody radości, syty młodzieńcy!

Łatwo jest nam tu się porozumieć, dogadać. Łączą nas przyjaźń. Nawet patetyczne zwroty nabierają bliskiego, osobistego znaczenia. „Pokój musimy obronić” — mówi Vietnamczyk. Nie znamy jego pięknego ale i trudnego języka. Rozu-



Freundschaft!

miemy jednak jego uśmiech, jego wilgotne, wzruszone oczy. U prawego boku zwisa pusty rękaw. Rękę stracił w walce o wolność. Przedwcześną widzieliśmy występ zespołu wietnamskiego. Na scenie w głąbi — wielki żółty księżyc. Siostry i mali bracia żegnają chłopca odchodzącego do partyzantki. Delikatna, czuła melodia pieśni. Mały brat sypie do wąskiego worciska ryż. W jego zasmuconych nagle oczach widać cień żalu, że to nie on, lecz starszy brat idzie walczyć o wolność pięknej ojczyzny. Ci drobni chłopcy o uśmiechniętych oczach, to awangarda frontu pokojowego. Wiatr podrywa tu-many kurzu sprzed trybun, chwytając pustym, nienaturalnie pustym rekawem naszego przyjaciela z Wietnamu. Wiemy dobrze, że pod najłatwiejszym do wypowiedzenia sloganem w zdaniem pulsuje żywa krew ludzkiego doświadczenia.

Znad zachodniego Berlina wyskakują w górę baloniki. Chwycią się chwilę w powietrzu, a potem eksplodują. Sypie się z góry rzadki deszczyk ulotek antypokojowych. Żadna z nich nie pada jednak na ziemię. W locie łapia je wszyscy i drą na drobne kawałki. Nikt nie jest tu ciekaw prowokacyjnych wypocin neohitlerowców. Żalostnie jakos wygląda ta mało pomysłowa dywersja: miliony zahartowanych bojowników o pokój, którzy w swym młodym życiu nie jedno więzienie poznali — i garść fałszywych, obłudnych świstków.

Którą to godzinę maszeruje już niemiecka armia pokoju? Gardła zaschły nam od okrzyków. Stoimy cały czas. Zapomnieliśmy o ławkach, które są za nami. W dole długie szeregi niebieskich koszul, tysiące otwartych ust, chwycie się łaka napisów różnorodnych: Pokój, pokój, pokój... Gołębie. Białe chmury gołębi. Zleciały się tu z całych Niemiec, ze wszystkich prowincji, z walczących Niemiec Zachodnich.

Idą teraz Helgolandczycy, nad nimi łopocze zielono — czerwono —

biała chorągiew. Znamy ich. Nieśli nas wczoraj na ramionach podczas spotkania delegacji polskiej z młodzieżą Zachodnich Niemiec. Późnym wieczorem rozmawialiśmy z nimi w jednym z parków berlińskich. Mówiliśmy o naszej walce i pracy. Pochwycili nas na ramiona. Znaleźliśmy się wysoko w górze. Przede mną niski kędzierzawy zetempowiec, chwytając się na rękach helgolandzkich przyjaciół, całował zapłakane policzki szesnastoletniej koleżanki z Helgolandu, uniesionej do góry przez zetempowców. Opowiadała nam przed chwilą o swoim trudnym życiu. Freundschaft! Przyjaźń! — te dwa potężne słowa rozpierają widok sierpniowego wieczoru. Chcielibyśmy uścisnąć wszystkie chropowate od morskiej wody ręce. Chcielibyśmy połowę swych sił, połowę serca ofiarować bohaterom przyjaźni. A na trybunie pod sztandarami, zasypa-ny po kolana kwiatami, stoi Max Reimann. Uśmiecha się serdecznie z trudem opanowując drżenie ust. Siwa głowa odcina się wyraźnie na tle granatowego nieba.

Pod trybunami przechodzą młodzieży sportowcy. W górę las rąk klaszczących rytmicznie. Przyszli tu ze stadionów. Ze stadionów wielkich, rozległych, o świeżej ciemno-zielonej trawie, ze stadionów budowanych dla nich, dla ich młodzieży, dla ich szczęścia. W okolicach Friedrichstrasse terkoce gorliwy helikopter z zadartym ogonem. Siedemnastoletnia robotnica z Mediolanu kładzie mi na ramiona rękę. Chce się przyłączyć do naszej rozmowy. Szybko, nerwowo dyskutujemy ze Szwedką z Göteborgu. Nie jest to właściwie rozmowa. Raczej dialogowany akt oskarżenia przeciwko imperializmowi. Szwedka widziała Polskę już dwa razy. W roku 1947 i 1950. „Warszawa, o, Warszawa” — mówi kręcąc głową. Podniosła brwi do góry — ma to oznaczać podziw. „O, wunderschön” — bierze moją rękę, żeby podkreślić wagę swoich nieskomplikowanych twierdzeń.



Sportowcy radzieccy pozdrawiają młodzież niemiecką witającą ich na dworcu w Berlinie

Uśmiecha się przy tym tak szeroko, że piegi na jej zadartym nosku zlewają się w jedną całość. Zaczynam mówić gorączkowo. Chcę jej powiedzieć, że już na MDM-ie mieszkają nowi lokatorzy, budujemy nowe fabryki, nowe miasta. Brak mi słów, myślę się, płaczę przypadkiem. A przede mną uśmiechnięta, potakująca twarz Włoszki i Szwedki. Rozumieją doskonale. Jak można tego nie rozumieć. Potem one mówią o sobie. W Göteborgu droższyna, coraz gorzej, plan Marshalla, rozumiesz? Rozumiem, rozumieć doskonale. Ojciec nie pracuje, bezrobotny — pół na młot, tłumaczy Włoszka. Nie wiem, jak potwierdzić jej słowa, udowodnić, że rozumiem jej troski. „Togliatti” — mówię. Oczy Włoszki uśmiechają się: „Oui, oui”. Ścisnęłam sobie ręce. Pokazuje na młot, że trzeba walczyć, podnosi do góry zacisniętą pięść.

Przed nami w dole wrzawa fanfar. Maszeruje drugi milion niemieckich młodych bojowników o pokój. W tej chwili na całym świecie toczy się zacięta walka o wolność, o szczęśliwe, pokojowe życie. Tymi ot młodymi rękami zwyciężymy wojnę.

*

Tego samego dnia wieczorem spotykamy się ponownie na Placu Marksa i Engelsa. Olbrzymi plac faluje jak łan zboża. Nawet pobliskie ulice są pełne. Fiołkowe i seledynowe reflektory liżą smugami światła ubite ciasno głowy manifestantów.

Wysoko w górze, kilkadziesiąt metrów nad trybuną, łopocze portret Stalina oświetlony reflektorem. Przeświecona elektrycznym

światłem czerwień flag, przezroczyste waży, unoszące się w gęstym, granatowym powietrzu, różnokolorowe drogi głów i rąk ludzkich, wycięte z mroku przez reflektory.

Umieszczono w różnych kątach placu megafony jak stokrotne echo odbijają słowa przemawiających: Waltera Ulbrichta i Erica Honeckera.

Setki tysięcy młodych gardel skanduje: Pokój, Stalin, pokój, Stalin. Jest ciemno, nie widać twarzy, nie widać nawet sylwetek ludzi. Błyskają czasem nagie ręce klaszczące nad głowami. Czarne niebo bezgwiezdne, zdawałoby się, pęka pod naporem przeciągłych, nierównych okrzyków, które przelatują się nad placem, zapadają do wąskich, zatoczonych ulic.

Żądamy pokoju. Żądamy pokoju w mieście zniszczonym przez faszyzm. Żądamy pokoju u wrót neohitlerowskiej twierdzy wojennej, której pachółkowie strzelają do bezbronnej młodzieży pragnącej żyć w wolnej, zjednoczonej, pokojowej ojczyźnie.

Sprzeda trybuny bucha nagle pieśń. Hymn Młodzieży Demokratycznej. Chwytałyśmy dłonie najbliższych sąsiadów — to przyjaciele z Zachodnich Niemiec. Podnosimy ręce do góry, pieśń potężnie, rośnie. Patrzymy sobie serdecznie w oczy, w których eksplodują odbłyśki reflektorów. Ręce zaciskają się mocniej. A nad nami marszczy się lekko na wietrze, wycięty z granatowego nieba portret Józefa Stalina.

GRANICA

Wracaliśmy jedenastego dnia Festiwalu późnym wieczorem od Paula Wiensa. Naokoło — rozświetlany, rozżarzony Berlin. Berlin hasel, sztandarów i wesółych neonów. Błękitno-czerwone tłumne miasto, dwutygodniowa stolica młodości świata. Rozmawialiśmy o poezji. Na stacji U-bahnu, na Rosenthaler Platz otoczyła nas grupa podnieconych FDJ-owców. Trzech młodych chłopaków, przeszkadzając sobie nawzajem, usiłowało wytłumaczyć coś niepojętego. Dziewczynka z bluszczowymi oczami powtarzała: „my jeszcze tam pójdziemy”. Koleżanka jej przypięła do piersi czerwonego krawata znak nieemieckich młodych pionierów...

Wtedy dowiedzieliśmy się o masakrze młodzieży niemieckiej w Zachodnim Berlinie.

Obecnie znamy dokładnie przebieg wydarzeń.

Już od wielu dni dr Reuter, socjaldemokratyczny nadburmistrz zachodniego Berlina, przez setki megafonów zapraszał uczestników Festiwalu do zmarszczonych sektorów. Czuliśmy głos dobrego wujaska zapewniał: „bądźcie gościnnie przyjęci, przyjdźcie, zabawcie się, poznaście prawdziwą wolność”. W środę, 15 sierpnia, kilkanaście tysięcy młodych Niemców postanowiło skorzystać z zaproszenia i udali się do odciętej przez okupantów połowy miasta, aby powiedzieć o swojej woli utrzymania pokoju, o swoim przeświadczeniu, że naród nie może być rozdarty, że porozumienie jest możliwe, że w imię pokoju porozumienie jest konieczne. Szli ze śpiewem, z wyciągniętymi do braterskiego uścisku dłońmi, z otwartymi sercami. I oto na granicy sektorów spotkali ich najpierw ulotki i węzowe szepty przebranych po cywilnemu szpiclów, a gdy to nie pomogło — poszły w ruch petardy, strumienie wody, pałki gumowe i kolby rewolwerów Stumm-Polizei. Coraz nowe oddziały zbrojnych zbirów Stumma występowały do akcji przeciw bezbronnej młodzieży. Bito i kopano padających, ze szczególnym upodobaniem znęcano się nad dziewczętami, porywano i rzucano do aut policyjnych tych, którzy nie zdążyli uciec. Czteryście trzynastu rannych — oto rezultat „akcji” stummowców. Tak powitał młodzież niemiecką gościnnie pan Reuter, tak zza uśmiechniętej karnawałowej maski pajaców z Bonn wyjrzała dawno znajoma, zwierzęca morda faszyzmu.

Dwa światy! Ileż razy mówimy i piszemy o tym! Ale trudno chyba o dobitniejsze zobrazowanie zagadnienia dwóch światów niż to, którego dostarczyły berlińskie wypadki. „Neues Deutschland” przytacza sprawozdanie z jednej z godzin instrukcyjnych w 42 rewirze policji stummowskiej okręgu Wedding. Rozpatrywana jest kwestia pojawienia się grupy FDJ-owców i wystąpienia policji przeciw nim.

Cytujemy:

„Oficer służbowy: Co robicie? Czy wzywacie FDJ-owców do wylegitimowania się?”

Starszy wachmistrz: Nie! Grupa atakuje natychmiast FDJ-owców pałkami (Schlagwaffen).

Oficer: Jak używa się pałki policyjnej?

Policjant: Tak, aby cios nie był śmiertelny, ale jednak skutecznie unieszkodliwia.

Oficer: Proszę wymienić konkretny przykład.



Delegacja młodzieży Chin Ludowych w czasie defilady na stadionie w Berlinie

ARNOLD SŁUCKI

BERLIN

Wstęp do poematu

Nad ruinami Berlina
w zieleńcach młody sierpień.
Dzień wschodzi,
po murach się wspina,
nad Szprewą świta młodzieży,
nad pamięcią niewygasła,
nad rzeką też i cierpień.
I oto błękitnieją hasła
nad dworcem, radiostacją, nad parkiem.
Różami rzeka zarasta
i na miasta kamiennym karku
siadło słońce, dziecko oczekiwane.
Przed nim szpaler otwiera się ulic,
jemu mosty salutują i dworce.
I światło Berlin przenika —
Berlin Ernesta Thälmana,
Berlin Wilhelma Piecka.

Widziałem miasto,
w którym uśmiechają się milicjanci
kwiatami w klapie,
uśmiechem, który jak klucz otwiera ulice.
Witaj, ludowa milicjo,
nad spokojem czuwaj gołębi,
zanim pofruną nad sektorów granice,
które ustalił tu obcy.
Przejdą dziewczęta i chłopcy ze świata
jezdnią gorącą,
którą ogrzało nam wspólne
pokoju dobroczynne słońce.

HENRYK GAWORSKI

REFLEKSJA BERLIŃSKA

Noc, która idzie piękna i pochmurna,
nie kończy pieśni zaczętej przed świtem.
Wszystko co młode piękne, nieprzeżyte
idzie przez Berlin niewstrzymanym szturmem.

Rozkrzyżuj ręce na środku ulicy,
niech jak przez tamę przewali się fala,
która oczyszcza, hartuje, zapala,
która nie odda serca, gdy raz chwyci.

Stolico kraju, którego widoki
malował dla mnie czarnych dymów pędzel
na karcie nieba rozdartej przez pożar

wierzę w twój oddech, zdrowy i głęboki,
w twe serce, które nowy rytm rozpędza,
w śpiew, co twe dźwięki dla witań otworzył.



Delegacje młodzieży składają hołd pamięci poległych żołnierzy Armii Radzieckiej przed pomnikiem w Treptow

LEONARD ŻYCKI

Z CYKLU: „BUDUJEMY POLSKĘ SOCJALISTYCZNĄ”

NARODZINY FABRYKI CEMENTU

Może nie ma drugiego twórcy, który by tak często spotykane i tak mało znane jak cement. Z cementem jest podobnie jak z solą. Mało się zwraca na uwagę, gdy go mamy w nadmiarze, lecz staje się niezmiernie cenny, gdy go zaczyna brakować. Kraj nasz odbudowuje się, a do odbudowy potrzeba przede wszystkim cementu.

Ten materiał budowlany, bez którego nie można się obecnie obyć w żadnym dziale budownictwa, jest w porównaniu z drewnem, kamieniem czy cegłą niesłychanie młody. Dopiero bowiem w roku 1824 skromny angielski murarz, Józef Aspdin, łączył różne doświadczenia, zmieszał szlam wapienny z gliną i, przepalwszy tę mieszaninę w tyglu, uzyskał cudowny proszek — cement.

125 lat istnienia cementu to zaledwie 125 lat niesłychanej rewolucji w budownictwie. Cement zmieszany z piaskiem, żwirem i wodą twardnieje w takiej formie, jaką mu nadaje budowniczy. Ta nieograniczona możliwość przybierania dowolnych niemal kształtów, jest najcenniejszą właściwością mieszaniny, noszącej nazwę betonu.

Ta właściwość pozwala na dalsze doskonalenie betonu jako materiału konstrukcyjnego, a to przez celowe rozmieszczenie w razie potrzeby w bryle betonowej włókien żelaznych, podnoszących wielokrotnie jej wytrzymałość na rozciąganie i gięcie. Ten typ betonu zwie się żelazobetonem, albo w skrócie — żelbetonem.

Nowy materiał budowlany umożliwił konstruowanie urządzeń, przy których słynne piramidy egipskie wyglądają jak miniatury. Z betonu wybudowano wielkie drapacze chmur, potężne zapory wodne, autostrady, a nawet statki morskie.

Domy i hale fabryczne konstruuje się dziś z gotowych, prefabrykowanych elementów żelbetonu. Nawet architekturę monumentalną,



Tak do niedawna wyglądała cementownia „Odra”.

do której używano zawsze najsłabszych materiałów, jak marmur, kamień ciosowy czy cegła, obecnie konstruuje się z żelbetonu. Jednym z pierwszych obiektów artystycznego budownictwa zespołowego w Polsce jest kościół w Białymstoku, zbudowany według projektu prof. Szczepkowskiego. Obecnie stosuje się przy budowie gmachów monumentalnych kombinację szkła z żelbetonem, czyli tzw. szkłożelbeton.

Lecz nie tylko w budownictwie domów mieszkalnych i fabryk używa się betonu. Co robiłbyśmy bez betonowych chodników i rur kanalizacyjnych. Żelbetonowe latarnie są tańsze od żelaznych, a słupy żelbetonowe coraz częściej znajdują zastosowanie w technice.

Ostatnio nasi inżynierowie przeprowadzają poważne próby, zmierzające do wymiany drewnianych lub żelaznych podkładów kolejowych na żelbetonowe. Nawiasem mówiąc, nasze koleje zużywają ponad 100.000 m sześć. betonu rocznie na różnego rodzaju przepusty, rury, krawężniki peronowe, chodniki, ścianki, zastopy przeciwnieślne, ławki, beczki przeciwpożarowe i ogrodzenia.

Dodajmy, że z betonu wyrabia się skrzynie do ryb, beczki do kiszenia kapusty, pustaki do budowy domów wiejskich, dachówki, rury studienne i że po naszych wsiach istnieje wiele drobnych zakładów, wyrabiających z cementu to, co chłopu staje się coraz bardziej potrzebne.

Wies, która do niedawna żyła w zakresie budownictwa własnym życiem i postugiwała się własnymi materiałami, obecnie oceniła wartość cementu i domaga się go w coraz większych ilościach. Na wsi widzimy już cement w budynkach mieszkalnych i gospodarczych, w fundamentach, stropach i schodach, studniach i kanałach, w dołach kiszonych i nawozowych, ogrodzeniach, inspektach, a coraz częściej w chodnikach pozwalających chodzić po wsi suchą nogą.

Rozdział historii cementu nie został jeszcze zamknięty. Powstają na

jego bazy coraz to nowe materiały i techniki produkcyjne. Przez mieszanie trocin, azbestu, słomy, wiórów, torfu z cementem powstają płyty izolacyjne, noszące różne nazwy fabryczne (np. Suprema, Eternit). Powstają nowe gatunki betonu, jak np. piankowy, strunowy, wibrobeton itp.

Nic dziwnego, że nasz rząd już w okresie Planu 3-letniego zwrócił baczną uwagę na rozwój przemysłu cementowego. Bez cementu bowiem nie podobna budować warunków dla kulturalnego życia ani w mieście, ani na wsi.

Już w r. 1947 rząd nasz zwrócił uwagę na olbrzymie możliwości Opolszczyzny, jako ośrodka przemysłu cementowego. Wielkie złoża wapienia, marglu i gliny szamotowej, dochodzące miejscami do 40 m grubości, służyły już od czasów średniowiecza Opolszczanom za bazę uzyskiwania wapna. Wapno tu wypalano w niskich piecach — dy-markach jeszcze za panowania książąt opolskich. Stare piece wapienne można jeszcze obecnie oglądać na terenie budującej się wielkiej fabryki cementu „Odra”.

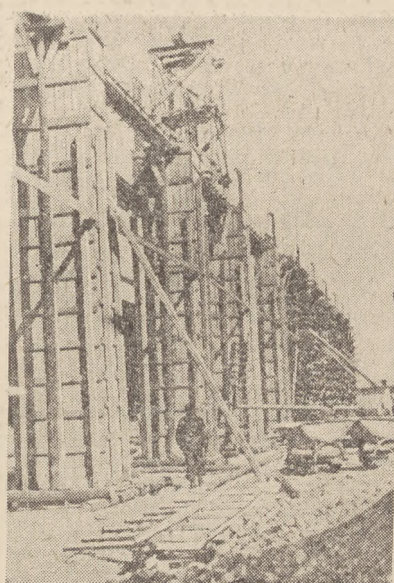
Gdy w Anglii zaczęto wyrabiać cement według recepty Aspdina, w Opolskiem zwrócono uwagę na korzystne warunki istniejące tu dla przemysłu cementowego. W 1857 roku powstaje tu pierwsza cementownia, założona przez Polaków: Siliw i Konstantego Prądzynskiego.

Obok starych pieców wapiennych nad Odrą powstaje cementownia „Oppelnhafen”. Zostaje ona w r. 1912 rozbudowana jako gigant o wielkiej wysokości produkcyjnej. Wiankiem wokół Opola powstają wielkie cementownie we Wróblowie, w Groszowicach, w Królewskiej Nowej Wsi, nie licząc pomniejszych „Oppelnhafen” i Groszowice to największe cementownie w Europie.

Druga wojna światowa z sześciotygodniowym frontem nad Odrą i zaciętymi walkami o jej sforsowanie przyniosła wielkie zniszczenia staremu Opolu, przyniosła zniszc-

zostały wywiezione, większość budynków spalona. Olbrzymi kamieniołom został zalany po brzegi wodą.

Decyzja odbudowy cementowni była śmiała. Motywami jej był nie tylko cement, ale i potrzeba zatrudnienia dawnych jej pracowników, którzy całe swe życie spędzili nieraz w cementowni i którzy nie wiedzieli, do czego teraz się zabrać. O ile rekonstrukcję budynków można było wykonać własnymi środkami, gdyż cementu dostarczały cementownie-sasiadki, a uzbrojenie



Hala klintru — chluba zakładów „Odra”.

huty śląskie, o tyle zaopatrzenie w maszyny nie dało się przeprowadzić w kraju. Maszyn miał dostarczyć przemysł czeskosłowacki.

Proces produkcyjny cementu jest prosty. Jest on powtarzeniem na wielką skalę czynności Aspdina. Lecz, by osiągnąć tę wielką skalę, stworzono tak fantastyczne maszyny, iż laik staje przed nimi pełen podziwu. W „Odrze”, która ruszyła 22 lipca b.r., odbywa się ten proces, jak następuje. W głębokim na 23 m kamieniołomie robotnicy wysadzają kamień wapienny i margiel, który koparki ładują na wagoniki kolejki kamieniołomowej. Kolejka przewozi tworzywo do łamiarni — budynku znajdującego się najbliżej głównego gmachu cementowni i połączonego z nim transporterem. W łamiarni kamień dostaje się pod młoty maszyn, zwanej łamiarką, która go kruszy na drobne kawałeczki i przesyła transporterem na tzw. młyn surowy. Ów młyn jest to olbrzymi, stalowy walec o kilkumetrowej długości. Wewnątrz pusty i wykładany płytami z najtwardszej stali manganowej. Funkcję mielenia wykonują kule stalowe różnej wielkości, które po wprawieniu młyna w ruch obrotowy ścierają kamień na pył. Do pyłu dodaje się wody i przesyła się go w postaci szlamu do wielkich mieszalników, gdzie dodaje się do niego 20 proc. gliny. Po stwierdzeniu drogi analizy chemicznej, że mieszanina jest odpowiednią, wstrzykuje się szlam do pieców obrotowych. Są to olbrzymie rury. Gdy z jednej strony wstrzykuje się do nich szlam, z drugiej wdmuchuje się pył węglowy, który pali się, wytwarzając temperaturę do 4.000 st. C. Piec jest ustawiony pochyło. Szlam, twardniejąc, jednocześnie przetacza się na skutek obrotu pieca ku wyjściu, skąd wychodzi pod postacią drobnych kamyków klintru. Klinier oczekuje jeszcze jedna operacja — mielenie w młynie, podobnym do opisanego poprzednio, a zwanego cementowym, z dodatkami 3 proc. gipsu. Z tego młyna wychodzi już gotowy cement, który podaje się drogą pneumatyczną do składu. Wszystkie te maszyny są poruszane elektrycznością, której wielki zakład zużywa tyle co spore miasto.

Proste — prawda? Proszę sobie więc wyobrazić, że żadnej z opisanych maszyn w fabryce nie było, że większość budynków leżała w gruzach, a kamieniołom był po brzegi pełen wody,

tworząc olbrzymie jezioro, po którym mogłyby pływać parowce transoceaniczne. Nawet nie można było swobodnie przejść przez teren fabryki, gdyż zagradzały drogę skrzęty wyrwanych szyn kolejowych i żelaza zbrojeniowego z rozbitych konstrukcji.

Jedynym urządzeniem fabryki było 11 zbiorników na szlam, strasznie zresztą zardzewiałych, oraz jakieś nieokreślone części maszyn, leżące pod stosom gruzów.

Te fabrykę postanowiono nie tylko odbudować, ale i rozszerzyć, dostawiając czwartą piec obrotowy wraz z całym do niego urządzeniem. Odbudowę powierzono jednemu z dyrektorów „Zjednoczenia Fabryk Cementu” w Sosnowcu, inż. Andrzejowi Tymienieckiemu.

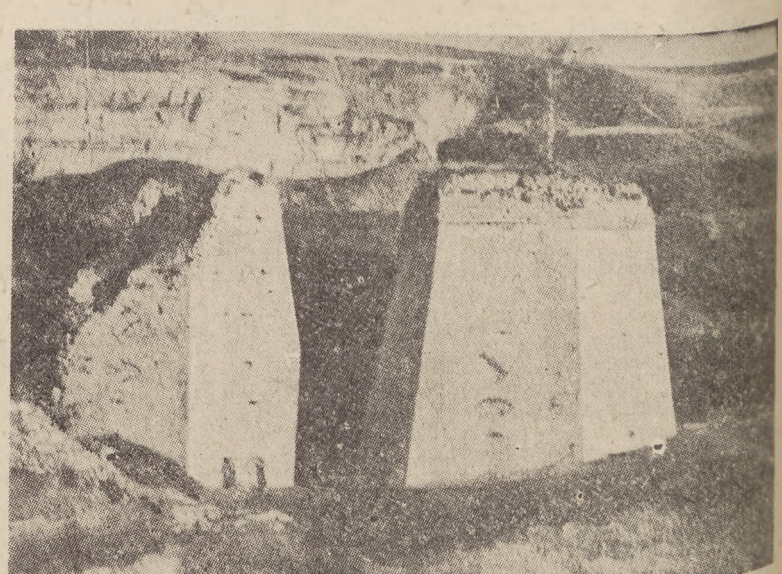
Nowy dyrektor nie miał jednego całego kąta na terenie fabryki, gdzie można by rozpocząć pracę. Biuro odbudowy fabryki pracowało z początku przy jednym stole z zaprzęgniętą instytucją w Opolu. Sztab był na razie także bardzo skromny: kierownik ruchu, inż. Kuchciński, kierownik biura technicznego, ob. Cichoń, i kierownik zaopatrzenia technicznego, ob. Żyboriski. Każdy z nich pełnił zresztą po kilka funkcji.

Już w maju 1948 r. biuro przenosi się do 3-pokojowego „apartamentu”, odremontowanego na terenie fabryki. Wprawdzie „apartament” ów jest dość ciemny i okna ma nie dość szczelne, bo to przecież w gruncie rzeczy magazyn, ale już stanowi początek drugiego etapu.

Robotnicy z okolicznych wsi, dowiedziawszy się o rozpoczęciu odbudowy fabryki, zgłaszają się masowo. Są to po większej części starzy wyjadacze, zwani przez Niemców „niuchaczami cementu” — Zementchnupfer. Pracuje np. przy uprzątnięciu gruzu stary robotnik Józef Jamróz. Pewnego dnia wyzwa go Komitet Partijny i poleca zorganizować opiekę socjalną. Jamróz chwytta się za głowę i gorąco protestuje. Czy to, pierona, robotnik i Ślązak ma się brać do pańskiej roboty? W końcu jednak daje się przekonać i jest dziś świetnym kierownikiem Opiek Socjalnej. Inny robotnik, Piotr Komor, pochodzący z bliskich Chrzanowic też bronił się zajadle przed funkcją dyrektora administracyjnego.

Pewnego dnia kolektyw fabryczny, który tworzył się z ludzi pochodzących ze wszystkich dzielnic Polski, jednoczy się w pierwszej zbiorowej radości. Wielkie przeżycie. Fabryka otrzymała własny samochód ciężarowy i prawdziwy parowóz. Od tego momentu prace ruszają wartko. Już odbudowano warsztaty mechaniczne i kuźnię, powstały pomieszczenia stolarni. Trzeba do nich tylko maszyn — ale skąd je wziąć?

Pomysłowość święci tu prawdziwe triumfy. Oto ślusarz, Bernard Pogrzeba, wyszukuje w śmietniku części kompresora i montuje go, zaoszczędzając państwu 300.000 zł. Oto Żyboriski jeździ po wioskach i miasteczkach aż pod granicę czeską i spod gruzów wydobywa rdzewiejące tam najnowocześniejsze ma-



Gdzieś tam spotkać można stare piece wapienne z końca XVIII wieku.

szyny i silniki, z których składają się dzisiejsze warsztaty fabryczne. Oto mechanik, Bronisław Bęben, obecnie kierownik garażu, montuje ze smelcu samochod osobowy i elektrowóz, oraz buduje, nie biorąc za to ani grosza od Dyrekcji, także ze smelcu, autobus dla załogi. Kierownik warsztatu elektrotechnicznego Zdzisław Grażda oraz jego dwaj pomocnicy: Augustyn Kala i Ryszard Melich, po prostu dokonują cudów, ratując spod gruzów cenny materiał elektrotechniczny i montując nowe instalacje na tej bazie.

Brigada Izzydora Borysa odnawia jedyne pozostałe w fabryce urządzenia — owe olbrzymie zbiorniki szlamu. Praca to ciężka — trzeba cały dzień spędzać na rusztowaniu lub drabinie wewnątrz olbrzymiej „banki”, oddychając kurzem obtłukiwanej rdzy i brudu.

Po usunięciu gruzu i rozbiórce starych, strasznie marnie, jak się okazuje, budowanych przez Niemców fundamentów przystąpiło do pracy Państwowe Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego, by zbudować szybkościowiec — największą w Polsce, bo liczącą 52.000 m sześć. halę klintru. Widziałem tę halę w całej okazałości, ale pamięć o jej budowaniu przetrwała, gdyż pięknie się tu wszyscy wyrażają o wspaniałym głuchu zespołowości murarzy i betoniarzy PPBP, którzy wykonywali ponad 200 proc. normy, jednocześnie pracując bardzo oszczędnie. Wykonali oni wspaniały pomysł racjonalizatorski, oszczędzający jednocześnie wiele czasu i pieniędzy, przesuwać bez rozdzierania całe rusztowanie z jednej połowy hali na drugą.

W r. 1949 przychodzi pierwsze zamówienie, wykonane przez Gottwaldowe Zakłady w Bnie. Piec obrotowy, silniki, wieniec. Składa się je na wielkim placu między torami i cała załoga biegnie je oglądać. Wszyscy się cieszą, opukują każdy kawałek, chwala lub krytykują. Teraz dochodzi do wielkiego zniechęcenia brigada montażowa starego fachowca, Jana Gajdy. Zwoluje on zewsząd swych starych kumpłów i zaczyna się narada, jak ściągnąć na miejsce montażu te

„segmenty”, ważące po 30 ton. Tu przychodzi z pomocą racjonalizator, inż. Kuchciński, budując myślowe urządzenie do przewożenia tych części. Urządzenie to przenosi je pierwszorzędnie po dźwignach i oszczędziło wiele czasu, pieniędzy i nerwów. Wiele też pomogło racjonalizatorskich dał dyr. Tymieniecki, niejednokrotnie przemawiając i ulepszając projekty urządzeń. Kierownik brigady ciesielskiej, Jan Mańka, stworzył też bardzo ciekawy pomysł rusztowania montażowego.

W 1949 r. zabrano się do likwidacji wielkiego morza w kamieniołomie. Zainstalowano 3 potężne pompy elektryczne i w krótkim czasie wyrzucano 1.500.000 m sześć. wody poza kamieniołom. Pracownicy szybkiego zalania wodą kamieniołomu okazało się potężne źródło, które zostało obecnie ujarzmione przez starczą wody potrzebnej dla zakładu.

Oto w roku ubiegłym wybudowano z gruzów wspaniały „Dom Robotnika”, z piękną salą, stołownią, świetlicą, biblioteką i pokojami. Szybkiego zalania wodą kamieniołomu okazało się potężne źródło, które zostało obecnie ujarzmione przez starczą wody potrzebnej dla zakładu.

Jeśli dodamy, że przy fabryce nie ma łaźni parowej, wanny, nie ma i wspaniałego basenu pływackiego, to stanowi powód do zniechęcenia dumy nie tylko starego ogrodnika, Kokota, ale całego kolektywu fabrycznego, to będziemy mieli niewybaczalne, czym jest „Odra”. Kazimierz Anczyz, stary robotnik warszawski, który znalazł się w Opolu, przypadkowo w „Odrze” i z „Odrą” związał swe losy, jest poetą fabrycznym. Zwrócił wiersza pt. „Budowa Cementowni „Odra” można uważać za program robotników opolskich:

W pracy wyczerpamy swe silne ramiona,

Sześćlećni plan każdy z nas wykonamy,

W gorliwości, trudzie i codziennym znoju,

Wywalczymy dla świata warianę Pokoju.

Leonard Życki

LUDWIK GOMOLEC

BUNT CHŁOPÓW WIELKOPOLSKICH PRZED 300 LATY

300 lat temu, w roku 1651, na terenie Wielkopolski — dawnego województwa poznańskiego i kaliskiego — doszło do wybuchu nieudanego buntu chłopów przeciwko wyzyskowi i uciskowi ze strony panów feudalnych.

Już pod koniec XIV w. Wielkopolska była terenem walk chłopów z panami feudalnymi. Najwcześniejszy większy bunt chłopów w Wielkopolsce — i jeden z najwcześniejszych w ogóle w Polsce — przypada na lata feudalnej wojny między potężnymi rodami szlacheckimi Grzymalitów i Nałęczów (1382 — 1385 r.). Podczas wzajemnych najazdów i rabunków uciertały przede wszystkim gospodarstwa chłopskie, niszczone wraz ze zbiorami. W czasie tych rozbojów magnackich uprowadzano sobie wzajemnie chłopów. Terenem rozruchów chłopów w tym czasie były okolice, gdzie leżały głównie posiadłości tych dwóch zwalczających się rodów szlacheckich. Do takich zaliczały się okolice Szamotuł, Grodziska Wlkp., Zbąszynia oraz dorzecze Welny (okolice Obornik), gdzie leżały posiadłości Grzymalitów. W czasie bitwy między Grzymalitami a Nałęczami pod Wronkami zginęło wielu chłopów. Najwięcej wiosek chłopów zlikwidowano w okolicy Grodziska, co pociągnęło za sobą wystąpienie zbrojne chłopów przeciw Grzymalitom. W zorganizowanym napadzie chłopów odebrali zabrowany im dobytek, a nawet wzięli jako jeńców szlachciców. W pościgu chłopów podeszli prawie pod Zbąszyn Ściągnięta naprędcie przez zagrożonych Grzymalitów pomoc doprowadziła do stumienia „rozruchu”. W czasie tej pacyfikacji zamordowano 160 chłopów. Rozruchy chłopów w Wiel-

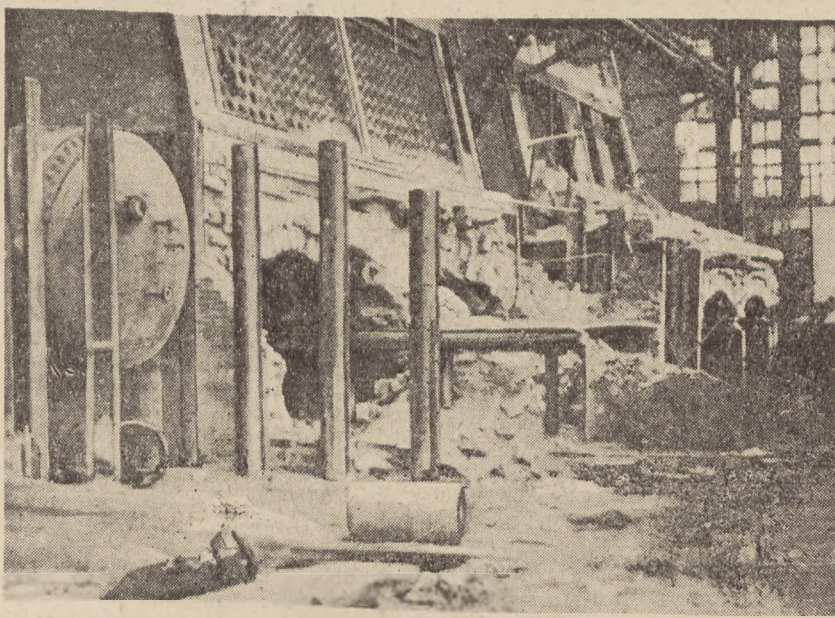
kopolce pod koniec XIV w. miały charakter samoobrony.

Bunt chłopów w Wielkopolsce w r. 1651 związany był ściśle z powstaniem kozackim i chłopskim na Ukrainie pod wodzą Bohdana Chmielnickiego. Głównym organizatorem powstania chłopów w Wielkopolsce był sołtys Piotr Grzybowski, którego współczesne źródła opisują jako meza urodziwego, barczystego, średniego wzrostu, z czarnym wąsem, „podle lewego oka w końcu plama, brwi czarne zagalone”. Najbliższymi jego współpracownikami byli: sołtys Piasecki²⁾ oraz dwaj bracia Ostrowscy, z których jeden był „kaleką na prawą rękę”, obaj jeszcze młodzi.

Piotr Grzybowski „ze swoją kompanią” rozwinął na terenie Wielkopolski przede wszystkim ożywioną agitację wśród chłopów od „zapustów” w 1651 r. Agitacja była najsilniejsza w woj. kaliskim oraz w pewnych okolicach woj. poznańskiego, szczególnie tam, gdzie „zwierzchność cieśla”. Obejmowała przede wszystkim okręgi zamieszkałe przez chałupników i komorników, a więc biedotę wiejską. Tymi najbardziej zainteresowanymi w woj. kaliskim były okolice Łądu, Ładka, Woli, Kowalewa i Jareszyna, wśród t. zw. „tościaków” nad Wartą w powiecie pyzderskim od Solca po Cień po obu stronach rzeki (dzisiejsze powiaty: średzki, wrzesiński i jarociński) oraz część dawnego pow.

kaliskiego w okolicach Krótkowa. W woj. poznańskim najsilniej zainteresowani byli okolice samogostkowskie, a przede wszystkim go Poznań, a przede wszystkim pas wsi chłopów od Obornik do Międzychodu wzdłuż Warty, szczególnie okolice Wronki, Sierpc, powiaty: obornicki, sierpczowski, międzychodzki i część powiatu czarnkowskiego. Warta w tym czasie była główną osią, a jej dorzecze najlepszym terenem akcji zbuntowanego chłopstwa, podobnie jak w dwa wieki później w czasie powstania chłopów w r. 1848.

Grzybowski rozstał pod koniec ok. 80 ludzi, którzy pod jego przywództwem zbierali jałmużnę i przetrzymywali ją w swoich domach. W tym czasie Grzybowski oddziałowi chłopów między Cieniem i Ładem pod wodzą Piaseckiego i Ostrowskiego, którzy w tym czasie w dwa wieki później w czasie powstania chłopów w r. 1848. Grzybowski rozstał pod koniec ok. 80 ludzi, którzy pod jego przywództwem zbierali jałmużnę i przetrzymywali ją w swoich domach. W tym czasie Grzybowski oddziałowi chłopów między Cieniem i Ładem pod wodzą Piaseckiego i Ostrowskiego, którzy w tym czasie w dwa wieki później w czasie powstania chłopów w r. 1848. Grzybowski rozstał pod koniec ok. 80 ludzi, którzy pod jego przywództwem zbierali jałmużnę i przetrzymywali ją w swoich domach. W tym czasie Grzybowski oddziałowi chłopów między Cieniem i Ładem pod wodzą Piaseckiego i Ostrowskiego, którzy w tym czasie w dwa wieki później w czasie powstania chłopów w r. 1848.



Wnętrze hal, z których trzeba było usunąć gruz, aby dać miejsce pod nowe maszyny.

¹⁾ Ludwik Kubala: Szkice historyczne, Warszawa 1923, seria I — II, s. 205, 215, 216.

²⁾ W wieku 40 lat, żonaty, „chłop hoży, mający konia białego w kolasi”.

PIOTR BOROWY

Szóste lato filmowe

KARLOVE VARY, 1951

Jeszcze zachowały się ozdobne nazwy i szyldy karlsbadzkich hoteli. Jeżeli wierzyć rysownikom, przyjeżdżały tu przeważnie rodziny obdarzone córkami. Wiedzące panny stroki się na bale i nieszpory, pojechały się świętować i czekały cierpliwie na zamążpójście. Matki wybrały kawalerów. Ojcowie kochali Habsburgów. Tyle mogłem zobaczyć i domyślić się ze sztychu, który wisiał nad głową portiera.

Dzisiejsi właściciele tych gospód, widząc nie mogą rozstać się z dawnymi szyldami, o dość wymownych nazwach: Ontario, Dover, Sans Souci. Wszystkie trzy hoteliki mieściły się w bocznej ulicy, niedaleko gorących źródeł. Nieco dalej była okazała kamienica z napisem: Łaźnia Warszawskie. Pół wieku temu spotkałbym przed nią jakiegoś kasztelana lub rodzinę Polanieckich. Wczoraj widziałem przechodzących tędy górników z Katowic, którzy przyjechali na wakacje. Miasto było stare, ludzie byli nowi.

Idąc dalej, widzi się u podnóża wzgórz różne tablice, wmurowane w skalne ściany. Szlachy i zamężne mieszczaństwo upamiętniały na nich swoje nazwiska oraz podziękowania. Złote litery zmyły deszcz i czas. Kogo mogła obchodzić dzisiaj wiadomość, że w 1825 i 1828 roku Karłowice Razumowska wydała tutaj swoją córkę? Jakis kolejarz, któ-



Scena z filmu „Kawaler Złotej Gwiazdy” w reżyserii Piotra Rajzmana. Nagroda Grand Prix Festiwalu.

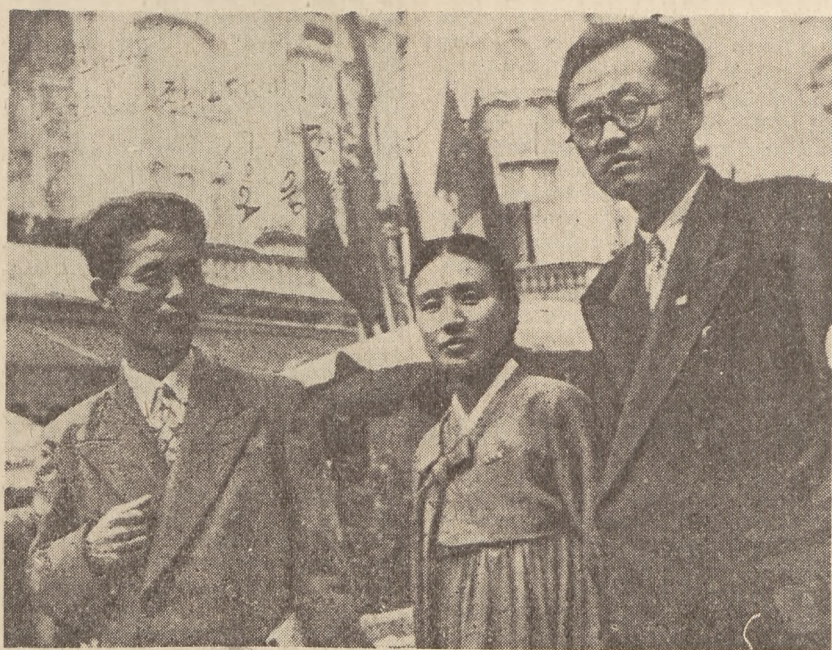
zatrzymał się przed tablicą, która miała być poświęconą Karłowicom. Omal nie wybuchł śmiechem i omal nie wyrzucił z ręki dzbanuska z brzącą cyfry numerkiem. Spacerował z nim po ulicy, podobnie jak inni kurażerzy, pijąc słoną wodę. Kiedy wchodził do hotelu, zapytał mnie, czy widziałem w mieście dom, w którym mieszkał Karol Marks, oraz pamiętałem tablicę.

Widziałem. Nie była pozłacana, nie była bardziej wymowna, niż wszystkie pomniki w mieście, żył w tym domu bogactwo i dla bogactwa. Kobieta historii, którą Maja-



„Roddany” — film produkcji Niemieckiej Republiki Demokratycznej w reżyserii Wolfganga Staudte. Nagroda Walki o Postęp Społeczny.

bódi wierszami, ruszyła w lipiec i rok 1951. Karlove Vary gościły robotników z różnych krajów oraz artystów filmowych. Wczoraj spacerowały tłumy ludzi, promieniując się przed wystawami. W Festiwalu prawie wszystkie kawiarnie zamieniły swoje wnętrza na witraż filmowy. Nad wejściem do hotelu, w którym mieściła się delegacja i goście z 25 krajów, zawisł gołęb Picassa, a pod nim błękitny napis: „Za pokój, za wolność człowieka, za lepszy świat”. Takie zwyczajnie rzucił artystom z ręki kawałki VI Międzynarodowego Festiwalu Filmowego, w roku,



Aktorka koreańska Mun Je-pon i dwaj operatorzy — reżyserzy koreańscy. Na zdjęciu dedykacja: „Nech żyje przyjaźń polskiego i koreańskiego narodu”

w którym jeszcze na 38 równoległych grzmią działa i gnity pola ryżowe.

DALEKO OD PHENIANU

Gdy skończy się poranny przegląd filmów, jest dosyć czasu, by przejść się starą aleją, przy której stoją pomniki poetów, odwiedzają-

Mun Je-pon przyjechała do Karlovych Varów na premierę swojego filmu, którego nie mogła obejrzeć w kraju. W Korei dzisiaj nie ma kin, które stałyby, jak w całym świecie: na ziemi. Mieszcza się w podziemiach miast, lub przeniosły się do górskich pieczar. Nie ma również dawnych wytwórni filmowych, zgrupowanych koło Phenianu. Zostały zburzone już w trzecim tygodniu wojny. Ocalało niewiele urządzeń. Filmowcy koreańscy poszli na front. Robili kroniki filmowe i krótkie, dokumentarne filmy o wojnie. Oglądaliśmy je na Festiwalu. Były wstrząsające w swojej wymowie.

Czytaliśmy reportaże i opisy walk w Korei. Ale żaden reportaż nie odda tego co film. Pisarz nie zastąpi na froncie operatora. Bo jak opisać dopiero co zbombardowaną ulicę, wielkie, czarne mchy na ustach zabitych i samotne dziecko, które krzyczy, tupie nogami obok nieżywej matki? Operator ogarnia to od razu krótkim i przejmującym obrazem, który się w 1 d i 1. Pisarz musi go dopiero wywołać w umyśle czytających.

— Pokazać wojnę, zdziwienie amerykańskich armii i naszą, sprawiedliwą walkę — było dla nas bojowym choć nie łatwym zadaniem. Robiliśmy na froncie przeżycia kroniki filmowe i krótkie filmy dokumentarne. Nie możemy dziwić się, że nasi operatorzy mieli częściej karabin w ręku niż scenariusz. Niektórzy z nich nie wrócą z wojny.

Filmy pełnometrażowe zaczęliśmy tworzyć od niedawna, chociaż zaczęliśmy je kręcić w roku 1912 i do tej pory zrobiliśmy ponad 150 filmów. Z ocalałych urządzeń zbudowaliśmy w górach, głęboko pod ziemią, małe atelie i nowe laboratoria. Nie są to wprawdzie doskonałe warunki do pracy, ale filmy możemy robić.

Zaplanowaliśmy w tym roku pięć filmów fabularnych. „Młodzi partyzanci”, w których Mun Je-pon gra matkę, jest pierwszym z nich. Zobaczymy go na Festiwalu, a jego pokaz będzie jednocześnie światową premierą. Dwa następne filmy są w realizacji: „Powrót z frontu” i „Moja wioska jest zajęta”. Pierwszy z nich jest opowieścią o koreańskim ochotniku, drugi opisuje małą, koreańską osadę zajętą przez Amerykanów. Reżyseruje go mój товарищ Ten Tun-tse. Gdy wróci z Karlovych Varów, rozpocznie pierwsze zdjęcia.

Scenariusze dwóch innych filmów są w opracowaniu. Jeden mówi o walce naszych kolejarzy, drugi opowiada o matce czterech żołnierzy. Nasze życie jest teraz walką i to pokazujemy w swoich filmach. — O Un-tak umilkł i odrzucił łydę trawy, którą żuł w ustach.

Była prawie upalna cisza. Mun Je-pon patrzyła na pomnik Gethego zamyślona i milcząca, sama podobna do posądku. Mimo wielu dzieci wyglądała jeszcze na poważną dziewczynę. Jej drobna i mała postać trwała w bezruchu. Może myślała o kraju. Kilka dni temu Amerykanie znowu bombardowali stary Phenian, w którym nie stoi już żaden pomnik i żaden cały dom. Komunikaty podawały o szesnastu nalotach w ciągu dnia. Ale w Phenianie, nawet gdy nie ma samolotów, słychać przez całą dobę ciężkie wybuchy. Amerykanie bowiem rzucają na miasta bomby z opóźnionym działaniem.

Wasył Kornilow, radziecki dziennikarz, opisuje, że saperzy koreańscy ogradzają te niebezpieczne miejsca pustymi beczkami po benzynie. Ażeby były bardziej widoczne, rysują na nich kredą twarz w okularach i podpisują: „prezydent Truman”. Mieszkańcy Phenianu, ostrzegając się wzajemnie o niebezpieczeństwie, nie mówią: „Uważajcie, tam jest bomba zegarowa”, lecz: „Uważajcie, tam jest Truman”.

Tutaj był spokój i leniwe, gorące południe. Ludzie szukali cienia pod drzewami i rozsiadali się na ławkach. Dzieci uwolnione spod opieki dorosłych bawili się w chowanego, kryjąc się za pomnikami poetów. Jakies umorusane stadko, goniąc się po alei, wpadło na nas rozkrzywane i zapędzone, prosto w wyciągnięte ręce. Mun Je-pon podniosła jedno z nich i przycisnęła kurczowo do siebie.

WYCHOWANIE AMERYKAŃSKIE

Głaszcząc głowy dzieci, nie mamy spokojnych myśli. Dzieci, które przeżyły wojnę, widzą nasze zmarszczki. Ponieważ jeszcze nam wierzają, odpowiadamy im poważnie i mówimy w końcu to, co mówił Stalin, że pokój będzie zachowany, jeżeli narody ujmą w swoje ręce sprawę pokoju i będą bronili jej do końca. Mówimy to dzieciom, aby żyły od nas szczęśliwie i wyglądały palcem ich pierwsze zmarszczki.

Myślmy o dzieciach jasnych i ciemnych, jak pięknie powiedział Ilja Erenburg; o tych z Paryża i tych z Londynu, Pragi, Warszawy, z Moskwy i Pekinu. Myślmy o dzieciach amerykańskich, które mogą wyrosnąć na faszystów, i o dzieciach Phenianu, które grzebią się w pogrzebiskach.

Widzieliśmy niejedno zniszczone miasto. W Korei nie ma już wielu miast. General Ridgway każe wyburzać nawet wioski, ale nie może zburzyć gór, w których chronią się mieszkańcy spalonych osiedli. Więc lotnicy amerykańscy rzucają na górskie wioski bomby z trującym gazem. Trudno mówić o jakimś morale trumanowskich żołnierzy, trzeba mówić o ich moralnym gangsterstwie.

W wychowaniu amerykańskim nie ma roli odegrał film, rewolucyjna kultura Hollywoodu. Nauczył nie tylko łatwo zabijać i lekceważyć życie ludzkie, użył również znęcać się nad zabijającymi. W filmie „Żółte niebo” Gregory Peck trzyma przeciwnika tak długo pod wodą, aż ten umiera. W innym wypadku Barbara Stanwyck wypycha w oczy szofera żarzącą się elektryczną zapalniczkę.

Powojenne filmy amerykańskie charakteryzuje szczególna brutalność w stosunku do kobiet. W filmie „Obszar Colorado” jeden z policjantów chłoszcze nagie plecy kobiety



Przyjaciele z „Nowej Kultury”, „w dowód podziwu dla polskiej kinematografii” — dedykują Georges Sadoul, filmowy krytyk francuski i Louis Daquin, twórcę filmu „Pierwszy po bogu” (Specjalne Honorowe Wyróżnienie Festiwalu).

ostrym rzemieniem, a w „Siedzącej Damie” też sama Barbara Stanwyck dostaje „dobrze wymierzony” cios w szczękę. Można by długo wyliczać podobne przykłady zdziwienia i podobne tytuły filmów. Najtrafniej może wyraził swoje myśli bohater obrazu „Urodzony do zbrodni” mówiąc: „Muszę tak pokierować swoim życiem, abym mógł każdemu napluć w twarz”. Podaje te fakty za Dawidem Platem, wybitnym amerykańskim krytykiem filmowym, który stwierdza, że Hollywood ponosi dużą odpowiedzialność za zwiększa-



„Zwiastun świtu” (C. S. R.) — nagroda za najlepszy film biograficzny.

jącą się przestępczość. Jak oświadczyła i obliczyła policja amerykańska, w Stanach Zjednoczonych co 18 sekund popełnia się jakieś przestępstwo, a najczęstszym wiekiem aresztowanych jest wiek 21 lat.

Myśleliśmy, że tylko hitlerowcy mogli być tak okrutni. Faszysty z Ohio nie są tagodniejsi. Bo czy można na przykład znieść widok chłopca przywiązanego do słupa, na sekundę przed strzałem? Okazuje się, że można zrobić z tej egzekucji „pamiątkową” fotografię. Wielu Janeków zbiera takie zdjęcia, jako dowód swoich „mocnych przeżyć”. Żołnierze koreańscy, biorąc do niewoli Amerykanów, rozbrajają ich bez obawy, ale boją się zaglądać do portfeli, by nie zobaczyć na takiej „pamiątce” kogoś z bliskich.

Oto dlaczego, głosząc dzieci, reka czasem jest ciężka, jak wtedy, kiedy trzymała karabin. W tym mieście, które ominięły polski, dzieci nie bawiły się w wojnę. Budowały w ogródkach domy z kolorowych kamyczków. W Warszawie nie wszystkie jeszcze drzewa zakwitły po wojnie i nie wszystkie jeszcze dzieci mają protezy. — Zdrowe wybierały cegły z ruin i układa-

cierpi na ciężkie zaburzenia psychiczne. Ale pisma milczą o tym. „New York Daily Compass” podał natomiast skwapliwie wiadomość: „Wczoraj około 890.000 dzieci skryło się pod ławkami w 800 szkołach miejskich na znak dany przez nauczycieli, że rozpoczął się pozorowany atak atomowy. Wizytator szkolny Jansen oświadczył, że musztra udała się doskonale i że będzie się ją powtarzać”. — W Korei dzieci kryją się przed nalotami w jaskiniach i uciekają od miejsc, gdzie saperzy rysują kredą na beczkach twarz Trumana.

POZDROWIENIE PABLO NERUDY

Kiedy chilijski wygnaniec stanął na mównicy, sala witała go nie-milknącymi oklaskami. Długo nie mógł mówić.

„Jestem człowiekiem — zaczął — który wszedł kiedyś do ciemnej sali, by szukać w niej fascynujących obrazów. Jestem jednym z milionów tych ludzi, którzy przyszli wczoraj do kina, przyciągnięci przez magiczną latarnię dzieciństwa, które chce widzieć i słyszeć, marzyć, odczuwać i poznać.”

Film, jak żadna inna sztuka, wymaga od nas całkowitego skupienia i uwagi. Możemy przerwać muzykę, zamknąć książkę, znużyć nas wdrówka w muzeum wielkiego malarstwa, ale rzadko kiedy wychodzimy z kina przed ukończeniem filmu, nawet gdy nas przynębia lub oburza. Zawsze mamy możliwość ujrzenia nowego obrazu, nowej drogi, nadziei. Ale ta atrakcyjność filmu uczyniła go równocześnie sprzedajnym. Nie mówi się o poezji, która by przynosiła dochody, ale mówi się o dochodowych filmach. W kinach zachodnich przepływa przez kasy rzeka złota, które odkłada się w bankach, schowkach i w pewnych ulicach śródmieścia. Z marzeń ekranowych został tylko brudny osad pieniądza.

Od dzieciństwa widzimy w koło siebie przesładowania i wyzysk, ale widzimy także walkę ludu i potężne ruchy społeczne, człowieczą drogę ku przyszłości. Nie widzimy tego w filmach. Wprost przeciwnie. Zdawałoby się, że wszystko co ma jakieś znaczenie w życiu ludzkim, ogranicza się tylko do kilku osób ubranych w smokingi. Tego było za wiele.

Nie lekceważąc zachodnich dzieł filmowych i kilku wielkich reżyserów, trzeba powiedzieć, że gdy działa pancernika Piatomkina wystrzeliły z ekranu, ich głos odbił się w sercach wielu ludzi jak wybuch jutrzni, która, rosnąc, osiągnęła swoje południe.

Jesteśmy tutaj, by je świętować i oglądać już dojrzałe dzieła. Widzimy film wyzwolony, który nie wzbogaca banków, lecz wzbogaca twórczość, wyraża naszą radość i walkę, nadzieję i pokój dla wszystkich ludzi.

Pracownicy filmu, przyjaciele, towarzysze! Niech wasze dzieła będą godne naszej epoki i ludzi, którzy z każdym dniem są liczniejsi na tej ciemnej sali, którzy przychodzą, by znaleźć w niej nie złudzenia i kłamstwa mniejszości, lecz prawdę dla wszystkich.”

Było to jedno z najkrótszych i najbardziej wyrazistych przemówień o którym ktoś z Francuzów powiedział, że można było go wyświetlać na ekranie, jak każdy z wierszy tego poety. Neruda przynosił pozdrowienie od postępujących artystów świata i bojowników pokoju, sam świadcząc swoim życiem i twórczością za sprawę, której służył.

Gdy schodził z mównicy, rośli i ciężki jak drwał, mały jasnowłosy pionier podał mu nareczone kwiaty. Pablo Neruda podniósł go w górę z czerwonym bukietem.

Wraz z Nerudą przybyli na Festiwal twórcy i artyści z wielu krajów, dalekich i bliskich: z Korei i Węgier, Vietnamu i Bułgarii, z Chin i Francji, z Indii i Austrii, z Australii i ze Związku Radzieckiego. Nie było bankietów, fałszywych toastów i gładkich przemówień, niedopowiedzeń, zapianych winem — jak w Cannes. Wszyscy tutaj mówili szczerze i prosto, mową pokoju. Festiwal w Karlovych Varach nie miał w sobie nic z zachod-

(Dokończenie na str. 8)



Scena z włoskiego filmu „Droga nadziei” w reżyserii Pietro Germiego. Honorowe Wyróżnienie Festiwalu.

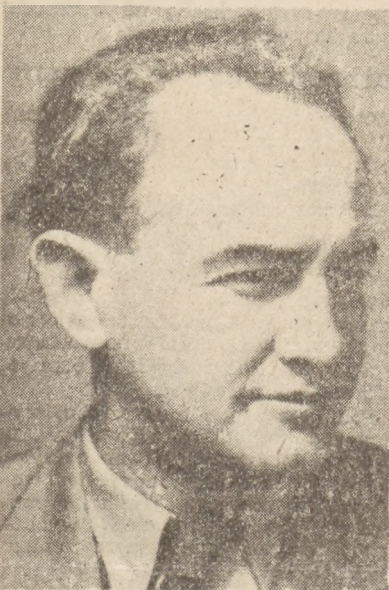
JERZY SKÓRNICKI

Wśród przekładów z literatury czechosłowackiej

D WSI SŁOWACKIEJ Z LAT TRZYDZIESTYCH

Cechą charakterystyczną literatury międzywojennej, związanej ideowo z ruchem robotniczym, jest śmiałe wprowadzenie w krąg tematyki literackiej obrazów z życia proletariatu miejskiego. Pujmanova, Majerova, Rzezacz ukazują w swych utworach powieściowych życie i walkę robotników czeskich z ustrojem wyższego kapitalizmu. Proletariacka literatura czeska ma na tym polu poważne osiągnięcia. Łatwo chwytamy zasadniczą różnicę między polską a czeską literaturą proletariacką dwudziestolecia: w Polsce główna linia prozatorskich zainteresowań prowadziła do ukazywania konfliktów życia wiejskiego (Wasilewska, Kowalski, Kruczkowski), w Czechosłowacji górą jako temat życia środowisk robotniczych.

Jednym z pierwszych pisarzy czechosłowackich, którzy sięgnęli po tematykę wiejską, był Piotr Jilemnický. Czech z pochodzenia, w głębokim poczuciu proletariackiego międzynarodowizmu całą swą twórczość literacką poświęcił bratniemu narodowi Słowaków — pisał w języku słowackim. Piotr Jilemnický przeżywał część swego życia spędził jako nauczyciel w wiejskiej szkole słowackiej. W latach trzydziestych pojawiają się jego pierwsze książki o wsi słowackiej, pisane ze świadomością pozycji proletariackich. Były to: „Niezłomne pole“ i „Kawałek cukru“¹⁾. Druga z tych książek otrzymała polski czytelnik w przekładzie Aliny Świdarskiej.



Vaclav Rzezacz.

Już po odczytaniu pierwszych kart książki jesteśmy zorientowani w zamierzeniu pisarskim Jilemnickiego. Otwiera się przed nami równina, jak stół płaski, aż po granice widnokręgu. Jak daleko oko sięgnie — pola buraczone. Chude chłopskie polećka przytłacza olbrzymie cielsko ziem dworskich. Na chłopskich zagonach uwijają się użnójni ludzie. Chude szkapiny i woły ciągną nędzne jednoskobowe pługi. Na ziemi obszarzaka Jerzabka jęczące traktory. W dali rysują się kontury miasteczka. Pod miastem czernieje zespół murów i kominów cukrowni.

Powieść ukazuje ciężką i trudną walkę drobnych plantatorów buraków z przytłaczającą ich znową dziedziców i potentatów przemysłu cukrowniczego. Walka jest tym ostrzejsza, że czas akcji powieściowej przypada na lata światowego kryzysu.

Ambicją pisarza było stworzenie szerokiego obrazu społeczeństwa słowackiego w warunkach panoszącego się kryzysu. Powieść rozwija się kilkoma wątkami; jeden zakreślił się wyżej, drugi ukazuje środowisko Jerzabków i ich popleczników w mieście, trzeci obejmuje młodzież wiejską i szkolną, czwarty — to spojrzenie na gniewny, rosnący z dnia na dzień tłum bezrobotnych wypełniających miasteczko.

Każdy z tych wątków stanowi właściwie temat do osobnej, rozbudowanej powieści. I tak w nurcie pierwszym w samodzielny niemal obraz urasta krzywda wolarza Kovacza, którego wyparł z pracy zakupiony przez Jerzabka traktor. Luddystyczny bunt i nienawiść do maszyn stanowią w powieści przykład walki nieświadomości; inną walkę prowadzi syn parobczycy Baletki, o którym mówi ona z dumą „Mój Marek to proletariusz“.

Wątek młodzieżowy obrazuje walkę o wydarcie wiejskiej młodzieży spod wpływów syna dziedzica, hańbie pociągnięcia reżimowych nauczycieli, dławienie swobodną myśl uczniów, borykanie się z życiem młodego maturzysty Wawra. Różnorodność osobistych losów, bogactwo konfliktów stanowiąc by mogło materiał dla osobnej powieści o życiu słowackiej młodzieży.

Również szeroko potraktowane zostały pozostałe nurty powieści. W wielości nagromadzonych wątków rozprasa się zasadnicza wymowa utworu. Pragnąc ukazać szeroki obraz życia społeczeństwa pisarz nie wprowadza wątku czy postaci centralnej, która by cementowała całą akcję — rozprasa się natomiast w

szczegółach. Stąd nieuchronna szkicowość niektórych przedstawień i często nieumotywowane, mechaniczne przenoszenie uwagi czytelnika z jednego kręgu tematycznego na drugi. Powieść ma cechy szkicu do wielotomowego cyklu.

Przebieganie bogactwem treści odbija się szczególnie silnie na pierwszej ekspozycyjnej części książki. Od momentu bowiem, gdy poszczególne wątki zostały wyłożone, akcja dynamizuje się w sposób wyraźny. Z szeregu konfliktów wyłania się temat wiążący: krzywdząca krzywda prostych ludzi w ustroju kapitalistycznym i walka przeciwko tej krzywdzie. Końcowe partie książki czyta się już jednym tchem.

Powieść zamyka wspaniały obraz zwycięskiego strajku robotników rolnych i cukrownianych. Rosnie i umacnia się sojusz robotniczo-chłopski, zapowiadają przyszłych zwycięstw w walce o władzę i obalenie ustroju krzywdy i wyzysku. Nie samotna walka Kovacza z traktorem, ale wspólny front walki o to, by maszyni stały się własnością ludu i pracowały dla ludu, by każdemu przypadł w udziale sprawiedliwy „kawałek cukru“ — staje się żywotnym nakazem rzeczywistości.

Czekamy na dalsze tłumaczenia z Jilemnickiego, na „Niezłomne pole“ i te jego powieści, które wywiózł jako plon ze swych podróży po Związku Radzieckim.

PUJMANOVA SPREZED PRZELOMU

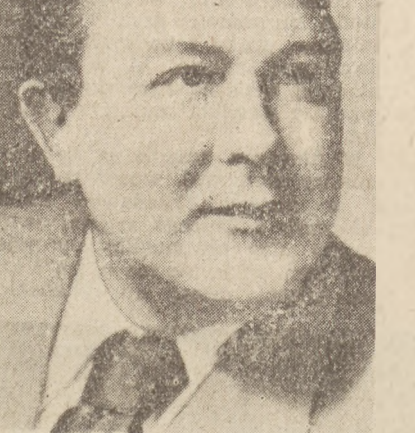
Maria Pujmanova jest bez wątpienia najbardziej po Fucziku poczytną u nas pisarką czeską. Znana jest z „Ludzi na rozstajach“ i z „Igrania z ogniem“ jako tę, która reprezentuje drogę literatury czeskiej do realizmu socjalistycznego. „Czytelnikowski“ tom, zawierający jej „Pacjentkę doktora Hegla“ i „Przecucie“, mógł wprawdzie miłośnika powieści Pujmanovej w zakłopotanie.

Wzmy „Pacjentkę“. Problem świadomego macierzyństwa został w utworze zaopiniowany w psychologicznej konstrukcji, w obrębie odizolowanego od jakichkolwiek społecznych wyznaczników świata burżuazjno-kołtuńskiej elity.

Jaro Krzyż, wysoki, szczupły młodzieniec, sekretarz Związku Cukrowników, syn dziedzica majątku Wlary kocha się w Karusi Janotównie — osiemnastoletniej córce aptekarza z praskiej Małej Strony. Są po słowie — przygotowują się do założenia rodziny. Ale o to „niezbadane drogi losu ludzkiego“ sprawiają, że w czasie choroby Karusi zjawia się „ten trzeci“, doktor Hegel, śniący chirurg, właściciel luksusowego i rentownego sanatorium, syn cielski z Czerwonego Dworu, chętny się nawet swym pochodzeniem („Robił to z pewną kokieteryą, jak ludzie, którzy własnymi siłami do czegoś doszli“). Sytuacja szybko się wyjaśnia: Jaro Krzyż popełnia samobójstwo, lykając tubkę lumnalu, Karusia zostaje kochanką Hegla.

W pierwotnych planach życiowych Karusia zarzekała się głośno dzieci. Pierwsze dziecko z Heglem usunęło pokątne leki z zabójstwem. Ale u zmierzchu miłości rodzi się w dziewczynie chęć zapełnienia przeżywanego pustki: Karusia decyduje się mieć dziecko. Dopnie swego, stawiając otwarcie czoło Heglowi, rodzicom, opinii towarzyszy.

W jednym z ostatnich obrazów powieści Karusia z przyjaciółką



Viteslav Nezval.

wiozą Saszę na spacer. „Spotkały Hegla z młodą dziewczyną. Minęli się z ukłonem.

— Kto to był? — spytała dziewczyna Hegla.

— To była... jedna dawna pacjentka... Już nawet nie pamiętam, jak się nazywała! —

Cykl więc powtarza się od nowa. Karusia ma pożądane dziecko, Hegel nową kochankę, Jaro leży w ciemnym grobie, opinia rozładowała się i przychyla. Z lektury wynosimy silne wrażenie, że świat ukazany jest światem gnijącym, ale jak długo mogłoby gnić pozostawiony wyłącznie oddziaływaniu wydziałanych przez siebie toksyn i miazmatów? Obraz jest, mimo swej demaskatorskiej funkcji, zupełnie statyczny.

Obraz rozkładu moralności metropolitalnej burżuazynnej inteligencji

i burżuazji jest w utworze odizolowany od źródeł sprawczych tego procesu, od kontekstu rzeczywistości klasowej. Główne zainteresowanie wzbudza w autorce analiza skomplikowanych stanów psychicznych osób, zaangażowanych w nakreślonym rozwoju wypadków. Maksymalne przybliżenie i wyolbrzymienie stanów psychicznych tłumaczy możliwość ukazania szerszych perspektyw, wyciągnięcia głębszych wniosków. Psychologia stanów chorobowych, studium psychologii wy-

czekiwania na list kochanka, psychika kobiety pragnącej być matką i kobiety-matki, plus cały szereg analiz nie mniej skomplikowanych stanów psychicznych — wypełniają po brzegi ramy zakreślonej fabuły.

„Przecucie“ (znane poza tym polskiemu widzowi z filmu) na ogół nie odbiega od zasadniczej linii „Pacjentki“, choć nie brak w nim modyfikacji, wywołanych zmianą tematu psychologicznych dociekań. Świat „Przecucia“ rysuje się nam w bardziej sympatycznych barwach

niż ten, który ukazała nam „Pacjentka doktora Hegla“.

Mały, rodzinny dramat Jelinków, zamknięty szczęśliwym rozwiązaniem, wygląda na historię zacierpniętą z życia. Lingwista europejskiej stawy — Jelinek, pozostawia dzieci na letnisku, wezwany na międzynarodową konferencję językoznawców. W podróży towarzyszy mu żona. W dwa dni po wyjeździe radio podaje alarmujący komunikat o wykolejeniu się pociągu, którym wyjechał Jelinekowie. Nasi bohaterowie uniknęli jednak śmierci

— pociąg uciekł im z maleńkiej stacji, na której w czasie postoju zrywali przechadzki.

„Przecucie“ nie jest jednak książką o starych Jelinkach, lecz o dzieciach pozostawionych w letniskach. Ukazuje przeżycia Wacławowa i Jarmyły Jelinków. Wydarzenia, które powyższymi wydarzeniami Bieg przeżył komplikuje historia Jarmyły, dojrzewająca panienka, która opłatuje w swej sieci antypatyczny, zbłądowany Tonfar (młody redaktor pisma, niemający w sobie instancji prasy)

Czechosłowackie państwowe nagrody literackie w r. 1951

Nagrodę poetycką 1 stopnia 1951 r. otrzymał jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów (zarazem dramaturg i prozaik) VITESLAV NEZVAL za poematy: „Stalin“ i „Z ziemi rodzinnej“. Nezval od swojego pierwszego młodzieńczego tomu z 1922 p.t. „Most“, poprzez dziesiątki tomów poezji, prozy, dramatów i dramatyzacji (Dumas: „Trzej muskietierowie“, Prévosta: „Manon Lescaut“), jest typowym czołowym przedstawicielem kierunków, panujących w ostatnim trzydziestolecu w literaturze czeskiej. Po okresach formalnych poszukiwań, rozbitcia formy, epatowania burżuazji inteligencką lewicowością (grupa poetycka „Devětlát“, których najciekawszymi osiągnięciami były jego tomy: „Pantomima“, „Edison“, „Sylwestrowa noc“, „Matka nadzieja“ — Viteslav Nezval wchodzi w r. 1938 w nowy okres swej twórczości, którego można się było zresztą u niego na podstawie dawnych poszczególnych utworów spodziewać. Wydany w r. 1939 cyklem poetyckim „Historyczny obraz“, włączonym do tomu p.t.: „Pięć minut za miastem“ Nezval wszedł na drogę poezji narodowej. „Historyczny obraz“ charakteryzuje duże uproszczenia formy, pogłębienie treści, zespolenie się z losem narodu, z jego zbiorowymi przeżyciami i odczuciami. Poprzez niektóre młodzieńcze poetyckie wy-

powiedzi, „Obraz historyczny“ i poemat „Stalin“ wiedzie wyrazista droga Nezvala do poezji realizmu socjalistycznego, do jego ostatnich dzieł, jakimi są „Śpiew pokoju“, odznaczony w ub. roku czeską państwową nagrodą pokoju, i obecnie, najnowszy poemat „Z ziemi rodzinnej“, gdzie Nezval nie rezygnując z osiągnięć formalnych, nie ograniczając swej bogatej wyobraźni poetyckiej i lirycznego tonu, daje próbę epickiego obrazu dawnej wsi i jej obecnych przemian rewolucyjnych.

W dziale literatury pięknej nagrodę poetycką 1 stopnia za rok 1951 otrzymała na równi z Viteslavem Nezvaliem, znana wybitna prozaiczka, MARIA PUJMANOVA, która debiutowała w r. 1917 tomem, jak dziś sama mówi, „sentymentalnych społecznych obrazków“, wydając dalej opowiadania i powieści: „Opowiadania z miejskiego sadu“, „Pacjentka doktora Hegla“, „Przecucie“. Udział w ruchach robotniczych w okresie czeskiego kryzysu, wyjazd z Juliuszem Fuczikiem i Nejedlým do strajkujących okrugów w Moście i Libercu na czeskiej północy, a potem pobyt w r. 1933 w ZSRR, dokonująca zasadniczej zmiany postawy w twórczości Pujmanovej. W r.

1937 wychodzi znana nam powieść „Ludzie na rozstajach“, w 1948 „Igraszki z ogniem“, oceniane jako szczytowe osiągnięcia Pujmanovej w prozie, dające — pierwsza bez schematyzacji i uproszczeń obraz dziejów burżuazynnej republiki czeskiej, wzrostu i zwycięstwa sił wiodących C.S.R. do socjalizmu, druga — szeroka historyczna panoramę od procesu lipskiego po dobę okupacji, pogłębiającą zagadnienia poruszane w pierwszym tomie zamierzonej trylogii.

Powieść jest tą dziedziną twórczości Marii Pujmanovej, gdzie bez wątplenia najlepiej i najpełniej wypowiada się siła jej talentu, głęboka znajomość życia i postawa polityczno-społeczna. W poezji Pujmanova zadebiutowała stosunkowo dość późno, w roku 1938, tomem zatytułowanym „Śpiewnik“, który był poetyckim oddźwiękiem na tragiczny rok 1938. W dalszych tomach „Wiersze macierzyńskie“, „Rafael i Satelit“ a szczególnie „Wyznanie miłości“ z r. 1949 i „Miliony gołębic“ z 1951, za które otrzymała obecnie nagrodę państwową, daje Pujmanova wyraz miłości do kraju, spójnej z proletariackim międzynarodowizmem i głęboką wiarą w człowieka, co zrodziło przywiązanie autorki do Związku Radzieckiego („Pięć gwiazd nad Kremlem“) i postawiło ją w pierwszych szeregach bojowników o pokój.

Poezja Pujmanovej zajmuje bardzo specyficzne miejsce we współczesnej czeskiej twórczości poetyckiej. Wiersze jej cechuje obok precyzji i bogatej wyobraźni duża prostota wyrazu, mająca źródło w formacie poezji ludowej. Pujmanova często nawiązuje do ballady, zwłaszcza do ballady Erbenowskiej, a jednocześnie jest silnie powiązana z tradycjami poezji Wolкера.

STANISLAV NEUMAN, odznaczony w roku 1951 czeską państwową nagrodą poetycką II stopnia za poemat „Pieśń o Stalinie“, należy do najmłodszej generacji praskich poetów. Debiutował po wojnie poematem „Sto dziesięć procent szczęścia“, poświęconym czeskiej dwudziestolecu, wnosząc istotny wkład w poezję czeską: nową tematykę, rewolucyjną bojowość. Wydany w ub. r. „Pieśń o Stalinie“ cechuje zwrotność form klasycznych, szeroki rytmiczny wiersz. Dalsze próby nawiązywania do narodowej tradycji poetyckiej, do twórczości jednego z największych klasyków, Jana Nerudy, przy jednoczesnym popoziębieniu wyrazu ideowego poezji, pozwoliły mu stworzyć nowy interesujący poemat: „Pieśń o miłości i nie nawiści“.

VITESLAV NEZVAL

Z ZIEMI RODZINNEJ

Fragment poematu

O, wiosko spod gwiazdzistych strzech
z dalekiej twój poeta wraca drogi,
do ciebie, na twej rzeczki brzeg
dziś pewnie raków pełnej tak jak ongi.
Do domu wraca z pyłu miast,
do róży polnej, chabrów, racząt,
niech znowu skórę mu poznaczą
szczypcami, jak w dzieciństwa czas.

Wraca, jak kiedyś Orfej siedł
po miłą Eurydykę swoją,
w przedziwne wsi muzeum, gdzie
złożone przed spóldzielnia stoją
pług, kosa, dawnych czasów ślad,
i wpięte w uździenice wstażki
jak wykopalisk z tych lat szczątki,
gdy człowiek w jarzmo głowę kładł.

Z tych lat, gdy kamienistej między kęs
zwady pomiędzy braćmi rozdził,
gdy krzemień, granit, mika, gnejs
i polna mysz, co po nich chodzą
ba, nawet pajak, wszystko to
do księgi gruntów zapisane
na pieniądź było przeliczane
jak sera, albo masła żdźbło.

Wszystko co było wtedy, znam,
serdeczny dałem obraz biednych.
Niech tylko dym z kominów wzbija się.
Chcę śpiewać to, co jest i będzie kiedyś.
Zmarli i żywi wołam was,
powstańcie z mogił, z waszych leży,
chcę z wami żyć, z wami chcę przeżyć
dzisiejszy dzień i przyszły czas.

O wiosko, dobrze wiem, że masz
dwadzieścia sześć chat, tak jak wtedy,
lecz ujrzyś, jak cię zmieni czas.
Twój chomik, suseł, twoje krety,
nietoperz, ślimak twój i kur,
komarów granie, brzęki pszczoły
i wrzósów woń, słowika trele,
z którym skowronek toczy spór,

to czego krasę, woń i lot
przed wzrokiem wiejskiej krył biedoty
na oczy spływający pot, —
na łące kwiat, kaczeniec złoty,
to, co poeta w słowie swym
utrwalił, widząc żywe do dziś,
to będzie w ludzkiej radość rodzic
i smutek odejmować im.

Dlatego, gdybym znowu miał
cierpieć za moją szczerą wiarę
i gdyby znów wróg rzucił chciał
ogień na twoje strzechy stare, —
i ja bym wam, czuwajcie, rzekł,
o ludzie, dla was serce było,
świecie, z tobą jest moja miłość,
brzmij salwo, obcy mi jest lek.

Ja dwudziestego wieku syn,
któremu dane było dożyć,
który mógł cierpieć z ludem swym
i z nim szczęśliwy razem tworzyć,
chciałbym w swym śpiewie oddać mu
krew, imię, nawet życie samo,
jak ojciec córce daje wiano.
O, gdybym dalej z nim współtworzyć mógł!

Tłum. Wanda Karczewska.

MARIA PUJMANOVA

D O M Y

Fragment poematu

O, ludzie, ludzie, ja widziałam grozę z bliska,
Tam w Polsce nie na darmo gruzy mówią na zwaliska.

Zobaczyłam domy wspięte, jak zdziczałe konie
w drganiach śmierci, kiedy się huragan oprze o nie,
i konstrukcje zwiłe w skrzyty
z sercem aż do dna pękniętym,
jak kamienny posąg placu, złorzeczący wojnie.
Miłośni, których ręce dały
gruzy na grob innym, sami wkrótce marli,
tamtych szczątki pod ciężarem swoich kości kryjąc potrzaskanych
grabarzy żyjących, sami niegrzebani.

Na kolebek szkielet teraz śnieg napadał,
latem weszła w izbach dziewczanna i trawa.

Cmentarna zieleni, bagr cię stąd wypłeni,
patrzę w zamyśleniu w spłot dziewczann korzeni.
Wśród ruin wyrosła, a skąd mi tak bliska?
Ach, wiem już, z wielkiego maszyn cmentarzyska,
z tych czasów bez pracy, niepokojów gorzkich, —
tak, to nasz był cmentarz, a nie żaden obcy,
u nas był, pamiętam, na czeskiej północy.
W tkalnicach i warsztatach wyrosły tam chwasty,
wokół tłum milczących robotników zastygł,
jakby w jakimś za rąk swych beczyność wstydzie,
za ten dzień niedzieli, który trwa przez tydzień.
Między maszynami darń była, łopuchy,
wynędziały dzieciom puchły z głodu brzuchy,
co z łaski bogaczy miały w czas spokojny
sacharynę z wodą, a gaz w latach wojny.

Zielona zieleni, bagr cię stąd wypłeni,
młode życie wschodzi już z grobowych cieni
i domy.
I nad głową dach jest, pod stopą pięć ziemi.
W imieniu tych dłoni, co te domy wzniosły,
dzieci, które przyszły na świat i wyrosły,
Stalingradu, Lidie znów zmartwychpowstałych,
w imieniu Warszawy,
nie damy wejść zbrojnej furii na nasze miasta,
tu — lud we władanie wrasta.

Wy, jak światła morskie, po majowy przedświt
świećcie, wam sadzono jasnym wzrokiem świecić,
świećcie, domy, świećcie tylko,
spokój.
Tamtym — ani kroku.

Tłum. Wanda Karczewska.

1) Piotr Jilemnický: „Kawałek cukru“, przekł. Aliny Świdarskiej. „Książka i Wiedza“, 1950; str. 322.

2) Maria Pujmanova: „Pacjentka dr Hegla“, „Przecucie“, przekł. M. Erhardtowej. „Czytelnik“, 1949; str. 242.

STANISŁAW BRODZKI

„Polskie” koncepcje anglosaskich wywiadów

Zastępca amerykańskiego Sekretarza Stanu, niejaki p. Barret, zajmujący się w swoim departamencie sprawami tzw. propagandy wolnego świata oświadczył niedawno publicznie: „Jeżeli nie wzywamy naszych przyjaciół za żelazną kurtyną do buntu, to tylko dlatego, że nie chcemy zapraszać ich do samobójstwa”. Oświadczenie to, trzeba przyznać, nie pozostawia żadnych niedomówień. Chodzi o to, że agencje imperialistyczne — jak taskaw był przyznać p. Barret — służą Departamentowi Stanu jako piąta kolumna. I chodzi o to, że zadaniem tych agentów — m. in. — jest obalenie władzy ludowej.

Nie obchodzi nas w tej chwili fakt, że p. Barret — podobnie jak przytłaczająca większość polityków amerykańskich — ma, żeby tak delikatnie się wyrazić, ograniczone pojęcie o rzeczywistości. Mniejsza już o to, że sprawy ustrojowe rozpatruje on pod kątem wzięcia „panamskim”, tzn. pod kątem widzenia periodycznych puców dokonywanych w jakiejś Panamie przy pomocy kilkunastu generałów i kilku żołnierzy. Mniejsza już o to, że nie rozumie on w ogóle, co to znaczy władza ludowa, oparta o zaufanie milionów i stąd czepiąca niewzruszoną siłę. Obchodzi nas dziś głównie inne zagadnienie. Oto po raz pierwszy badając w sposób tak jasny i wyraźny oficjalny przedstawiciel rządu jednego państwa przyznał się do organizowania dywersji i prób zamachów stanu celem zmiany ustroju w innych państwach. Tego tak jawnie nie przyznawali nawet hitlerowcy. Z właściwą subtelnością polityków rozwiązujących problemy światowe przy pomocy kładzenia nog na stole amerykańscy prezydenci do panowania nad światem postawili dopiero kropkę nad „i”.

Jak wyglądało samo to „i”, jakie były kolejne koncepcje imperialistów urzędów Polski takiej, jaka podobała się i na Wall Street i w City i w paryskiej Bourze, wszędzie tylko nie w Polsce — o tym wszystkim dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy z procesu Tatara i współników.

*

Na początku wojny imperialiści brytyjscy i amerykańscy nie mieli żadnych większych kłopotów jeżeli chodzi o powojenne perspektywy. W Londynie siedzieli zespoły wypróbowanych polityków, zgromadzonych w emigracyjnych rządach, gotowych do objęcia władzy, kiedy tylko wewnętrzne nieporozumienie w kapitałistycznej rodzinie — wojna — skończy się. Sytuacja zmieniła się po napaści hitlerowskiej na ZSRR, kiedy w całej Europie przybierała zaczęła na siłę walka ludowa przeciw faszyzmowi. A już zupełnie tragicznie dla imperialistów zaczęła się rozgrywać się wypadki w 1943 r. Rozgromienie hitlerowskiej armii pod Stalingradem nasunęło co trzeciemu imperialistom anglosaskim myśl, że duża część Europy wywoła Armia Radziecka. W tej części Europy — o tym wiadomo dobrze w Londynie i Waszyngtonie — nie będzie można wprowadzić siłą starych ekip, organizować zbrojnie kontrrewolucji, importować reakcji na obcych bagietkach. W tej części Europy należało szukać politycznego zabezpieczenia interesów imperializmu światowego. Tym politycznym zabezpieczeniem były ekipy „demokratycznych” polityków lansowane przez Brytyjczyków i Amerykanów już od początku 1943 r. na czołowe stanowiska w emigracyjnych władzach polskich. Wtedy na pierwszy plan wysuwa się Mikołajczyk, aktywizują się emigracyjne grupki WRN, angielska prasa zaczyna nawet atakować Sosnkowskiego, jako „zbyt konserwatywnego jak na obecne nastroje narodu polskiego” („Spectator”, w październiku 1943 r.).

Proces ten, rozciągający na cały 1944 r. i przybierający na sile w miarę postępów ofensywy radzieckiej — nie ograniczał się oczywiście do Polski. Podczas gdy u nas powoływa się do życia dywersyjne grupki, jak np. CKL — we wszystkich krajach wschodniej Europy następuje gwałtowna zmiana warty. Petkowi w Bułgarii, Maniu w Rumunii, Nagi w Węgrzech — wszędzie montuje się „demokratyczne” fasady z polityków jeszcze nie całkowicie skompromitowanych, ale od dawna już zwerbowanych przez wywiady anglosaskie w całej Europie wschodniej druga linia „demokratycznych” polityków jest gotowa.

Jednocześnie inne sekcje wywiadu brytyjskiego i amerykańskiego przygotowują stawkę na trzecią linię: agencje zakuspirowane w tonie partii robotniczych. W 1942 r. Trajczko Kostow, który od dawna był konfidentem monarchofaszystowskiej policji politycznej w Bułgarii,

staje się agentem Intelligence Service. To samo dzieje się z Rajkiem nieco później i na rzecz wywiadu amerykańskiego, nie brytyjskiego.

Klika titowska od dawna już siedząca w kieszeni anglosaskich wywiadów otrzymuje ze strony Churchill'a od 1943 r. pełne poparcie i faktyczne uznanie. Gestapo i Abwehra mające na wielu odcinkach punkty styku z wywiadami Anglii i Stanów Zjednoczonych przekazują tym ostatnim zwertowanych i szantazowanych przez siebie ludzi. W partiach robotniczych usadawiają się agencje, mające wystąpić na arenę po ewentualnej klapie drugiej, „demokratycznej” linii Mikołajczyków et consorts.

*

Kiedy w Polsce w 1946 r. okazało się oczywiste, że grupa Mikołajczyka zostanie rozgromiona — spiskowcy sądzeni niedawno w Warszawie otrzymali od p. Hankeya, ówczesnego szefa departamentu Europy wschodniej w brytyjskim MSZ, a obecnego po stałe brytyjskiego w Budapeszcie — polecenie, by doprowadzić koniecznie do bloku PSL — PPS. W tym celu wszelkimi siłami forsowane były elementy wuereńskie w PPS, wspomagana była prawica, wykane były w PPS różnego rodzaju agencje. O wielu takich faktach opowiadali w procesie warszawskim spiskowcy z grupy dywersyjno-spiegowskiej.

Ta stawka była tylko paliatywem. Główny wysiłek bowiem skoncentrowany był na wygranie istniejącego w PPR odchylenia prawnicowo - nacjonalistycznego. PPR, jako czołowa partia, ponosząca główny ciężar odpowiedzialności za losy kraju, upatrzona była przez imperialistów anglosaskich jako niezmiennie ważny teren penetracji. Doprowadzić do zjednoczenia ruchu robotniczego na bazie sojuszu między odchyleniem prawnicowo-nacjonalistycznym w PPR z prawicą PPS — oto naczelne zadanie, jakie stawiali sobie imperialiści anglosascy w 1948 r. Wtedy i tylko wtedy, gdyby do takiego zjednoczenia doszło — powstać mogłaby siła zdolna do zrealizowania cytowanych na początku apelów p. Barreta. Szczególnie, że w oparciu o grupę prawnicowo-nacjonalistyczną i w ściśle personalnym powiązaniu ze Spychalskim pracowała w Wojsku Polskim organizacja szpiegowsko-dywersyjna, zajmująca się nie tylko zbieraniem za dolary i funty informacji o wszystkich odcinkach życia w Polsce — ale obsadzając zarazem szereg poważnych stanowisk, mogących odegrać dużą rolę w organizowaniu zamachu stanu.

Rozbicie w 1948 r. grupy prawnicowo - nacjonalistycznej, zjednoczenie w tymże roku ruchu robotniczego na bazie marksizmu - leninizmu — przekreśliło nie tylko rachuby Tatarów i Kirchmayerów, ale było wielką przegraną dla ich mocodawców z Londynu czy Waszyngtonu. „Polski tytoizm” spalił na panewce, zanim w ogóle zaczął się wyłęgnać. Wtedy następuje kolejne przesunięcie w „polskich” koncepcjach Intelligence Service i Central Intelligence Agency. Nie zaprzestając spiskowej roboty w Polsce anglosaskie ośrodki dyspozycyjne wydają dyrektywy: liczyć na wojnę i pracować dla wojny. Nie ma już więcej nadziei, że jakakolwiek istniejąca polska siła polityczna zdolna jest do obalenia ustroju demokracji ludowej. Nie ma już na kogo stawiać. „Panamskie” marzenia rozwiły się całkowicie. Pozostaje tylko nadzieja przywrócenia dawnych „dobrych czasów” przy pomocy kontrrewolucji z zewnątrz. Pozostaje liczenie na wojnę, pracowanie dla wojny i przygotowanie wojny, w wyniku której na białym koniu do „wywołanej” Warszawy wjedzie „on” (w owej chwili jeszcze nie wiadomo było do końca, która klika wysunie „jego” i nie wiadomo, kim „on” miał być).

Błędne koło zamknęło się. Nie mogąc liczyć nawet na tych, którzy kiedyś ufali i wierzyli przywódcom AK czy emigracji, a którzy dziś z obrzydzeniem odwracają się od ujaśnionej na procesie warszawskim gangreny, nie mogą liczyć na żadną, choćby z imienia tylko polską siłę polityczną — wywiady anglosaskie nadzieje na zmianę ustroju w Polsce wiąże tylko i jedynie z kontrrewolucyjną wojną.

I tu wracamy do punktu wyjścia: przyjaciół w Polsce p. Barret nie ma, jeżeli odliczyć kilka tysięcy osądzonych już zdrajców i szpiegów, albo też jeszcze nie schwytych niedobitków. Pozostaje tylko lekcja dla wszystkich, którzy jeszcze może pewnych rzeczy do końca nie rozumie. Ta lekcja jest bardzo prosta: kto jest „przyjacielem” p. Barreta, ten nie walczy bynajmniej o takie czy inne ustrojowe, polskie rozwiązania, lecz o realizację kolejnej „polskiej” koncepcji anglosaskich wywiadów.

Stanisław Brodzki

Komentarze

Bagno

„kultury zachodniej”

Prasa francuska donosi: Christin Parmantier, lat dziewiętnaście, córka inspektora policji, wraz ze swoim kochankiem Jean Borderie zatrzymani zostali pod zarzutem urządzenia napadu rabunkowego. Zatrzymani oświadczyli, że są e-



gzystencjalistami i pieniądze były im niezbędnie potrzebne na uczęszczanie do synnego lokalu egzystencjalistów w Saint - Germain des Prés. No cóż, młoda obiecująca para zwolenników Sartre'a wyciągnęła tylko wnioski praktyczne z nauk filozoficznych mistrza.

Z.

Oświata we Włoszech

Dziennik „Avanti” donosi, że w samym Rzymie 30 tys. dzieci nie uczęszcza do szkół. Reakcyjne pismo „Epoca” przeprowadziło wśród



młodzieży ankietę czytelnictwa. Z ankiety tej wynika, że znaczna część tej młodzieży w ogóle nie

nie czyta, a pewna część interesuje się powieściami kryminalnymi oraz kroniką wypadków w gazetach. Nie ma się czemu dziwić. Degradacja kulturalna młodego pokolenia jest jednym z najważniejszych środków obrony klas posiadających.

Z.

Dobrobyt na Zachodzie

Francuskie pismo „Action” przeprowadziło na wpół „zartobliwą” ankietę pt. „Najgorętsze wasze życzenia”. Oto urywki z odpowiedzi:

1) Znaleźć pracę. 2) Móc zapłacić



rachunek za elektryczność. Sądzić należy, że czytelnicy, którzy odpowiedzieli w ten sposób na ankietę, nie należą do wielbicieli planu Marshalla.

Z.

Sprawiedliwość a la de Gasperi

Niedawno sąd wojskowy we Włoszech uniewinnił generała Coralleni oskarżonego o kolaborację i masakrę ludności cywilnej podczas wojny. Obecny Rząd de Gasperiego twierdzi, że jest rządem anty-faszystowskim. Ale cóż, sąd jest „niezależny” i widocznie nie widział powodu dla potępienia „bohaterkiego” generała obecnie, kiedy policja Scelbi w „obronie demokracji” z niemiejszą energią strzela do robotników i chłopów włoskich.

Nawiasem mówiąc ten sam sąd skazał niedawno dwóch partyzantów: jednego na 21 lat więzienia,

a drugiego na dożywotnie więzienie, za wykonanie wyroku śmierci nad czterema szpiegami hitlerow-



skim skazanymi przez trybunał partyzancki. Jeżeli generała, mordcę antyfaszystowskich partyzantów uniewinni się, to partyzantów, którzy ośmielili się walczyć z agentami hitlerowskimi trzeba skazać. Trudno odmówić włoskim sądom wojskowym konsekwencji...

Amerykańska pomoc dla filmu włoskiego

Pismo „Epoca” donosi, że Lamberto Maggiorani, główny aktor filmu „Złodzieje rowerów” jest od dwóch lat bezrobotny. Maggiorani musi obecnie utrzymać siebie i tro-



je dzieci z dorywczej pracy. Pismo dodaje, że amerykańscy wielbicieli przysyłają mu od czasu do czasu trochę pieniędzy. Najlepsza odpowiedź „oszczercom”, którzy twierdzą, że kapitał amerykański dąży do zniszczenia kinematografii europejskiej...

Z.

KSIAŻKI NADESŁANE

I. MARKSIZM - LENINIZM

Feliks Dzierżyński, nieugięty bohater rewolucji. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 108, 6 zł. W. I. Lenin. Co robić? Palące pytania naszego ruchu. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 233, 1 zł. W. I. Lenin. Krok naprzód, dwa kroki wstecz. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 262, 2 zł. J. W. Stalin. O wielkiej wojnie radzieckiej. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 214, 1 zł.

VIII. LITERATURA PIĘKNA

Balzac. Nieznane arcydzieło. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 288, 1 zł. J. Brzeczka, J. Minkiewicz. Zwycięzcy. Wiersze i satyry. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 47, 5 zł. Teresa Chładowska. Spodzielna podziwiana. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 63, 1 zł. Jan Maria Głogowski. Pierwsza miłość. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 2, 2 zł. Aleksander Gribojedow. Madrem da. Przekład J. Juliana Truwna. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 113, 3 zł. Włodzimierz Majakowski. Włodzimierz Iljcz Lenin. Poemat. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 131, 1 zł. Stanisław Piłtack. Wczoraj i dziś. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 2, 2 zł. Władysław Skóra. Byłem w spółce z ni produkcyjnej. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 47, 1 zł. Georgij Solowiew. Trudny rejs. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 137, 1 zł. Stendhal. Lamiel. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 153, 3 zł. Andre Stul. „Sekwana” spływa na morze. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 205, 3 zł. Tugelbaj Sydybekow. Ludzie szczytów. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 361, 1 zł. Mao Tun. Cztery opowiesci. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 107, 1 zł. Iwan Wazow. Wybór opowiadań. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 137, 1 zł. Wiersze o Komunie. W osiemdziesiąt rocznicę Komuny Paryskiej. „Czytelnik”, 1951, str. 69, 3 zł. W. Woroszyński i W. Zaleski. Walki i zwycięstwa. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 58, 2 zł. Stanisław Wygodzki. Opowiadania z chłateira. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 182, 2 zł. Zoltan Vas. Szesnaście lat węgierskiej. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 107, 1 zł. Stanisław Zieliński. Ostatnie ognie. Powieść. Część pierwsza. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 207, 3 zł. Stepan Zorian. Historia Jednego. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 353, 7 zł.

IX. LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

E. Dańko. Zagadka. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 195, 5 zł. W. Dobrowolski. Aleksander. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 50, 2 zł. Benedykt Hertz. Z dziełw terminu. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 133, 1 zł. M. Iljin. Stołce na stole. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 78, 2 zł. B. Silova. 30 koni Włoka gond. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 146, 2 zł.

X. NAUKA O LITERATURZE

Tadeusz Sinko. Literatura grecka. Tom III. Część I. Literatura grecka w czasach rzymskich. (Wiek I—II n.e.). Kraków, Polska Akademia Umiejętności, 1951, str. 616.

XV. ZAGADNIENIA SPOŁECZNE I POLITYCZNE

W. Czermenski. Militaryzm w kapitalizmie. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 25, 3 zł. F. T. Konstantinow. Georgij Dymitrow. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 37, 3 zł. Kazimierz Kozłowski. Siła lotu. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 81, 3 zł. W. Letenki. Planowizm i produkcja w przedsiębiorstwie socjalistycznym. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 3, 3 zł. W. Lesakow. Rumunia na drodze do socjalizmu. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 139, 5 zł. Anna Rochester. Początki kapitalizmu amerykańskiego. Warszawa, „Czytelnik”, 1951, str. 128, 2 zł. Claude Roy. Mao Tse-tung. Życiorys. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 86, 2 zł. A. Maruchan. Tryumf Leninizmu. Stalinizm i polityka narodowa. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 2, 2 zł. A. Winter. Od pierwszych elektrycznych wodnych do wielkich budowli komunizmu. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 22, 2 zł. Józef Stawowski. Zabawki z papieru. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 31, 1 zł.

XVI. OŚWIATA. WYCHOWANIE

B. Jesipow. N. Ganczarow. Pedagogika. Tom II. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 157, 3 zł. J. Miedynski. Antoni Makarenko. Wzrost i twórczość pedagogiczna. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 2, 2 zł. L. Nowikow. Organizacja pracy dydaktyczno-wychowawczej w szkole. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 254, 2 zł. I. Pieczernikowa. Wychowanie ucznia przez pracę w rodzinie. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 121, 3 zł. O. I. Skorochozowa. Jak postrzega świat. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 197, 3 zł. Józef Stawowski. Zabawki z papieru. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 31, 1 zł.

XVIII. NAUKI MATEMATYCZNE I PRZYRODNICZE

K. Bajew. Twórcy nowożytnego atomu. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 109, 3 zł. Stanisław Kalinowski i Ewa Kalinowska-Widomska. Fizyka. Część II. Fizyka elektromagnetyczna. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 255, 1 zł. I. Sokolow. Fizyka. Tom I. Mechanika. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 253, 7 zł.

XX. TECHNIKA. PRZEMYSŁ. RZEMIOSŁO

Walenty Czyżycki. Inżyniering techniczny. Wskazywanie i liczenie. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 10, 1 zł. Walenty Czyżycki. Prace z papieru. Karton, tektura. Wydanie. Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 1950, str. 116, 1 zł.

XXI. WOJSKOWOŚĆ

O generale Świerczewskim, waleku Polaku, żołnierzu, rewolucjonście. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 46, 2 zł. O radzieckiej nauce wojennej. Zbiór artykułów. Warszawa, „Prasa Wojskowa”, 1950, str. 159, 1 zł.

SPROSTOWANIE

Do reportażu Tadeusza Różewicza pt. „Kartki z Węgier” w Nr-ze 31 „Nowej Kultury” wkładły się następujące błędy:

zamiast: „Równocześnie z wykładami przeprowadzono szereg eksperymentów na owocach”, winno być: „na owocach”;

zamiast: „Zrozumiałem, że stoimy na skraju rozległych łąk” winno być: „że nie stoimy...”

Fragment wiersza W. Słobodnika winien być zamieszczony przed słowami: „Wysłaliśmy na drogę pokrytą...”

REDAKCJA

„Panna do chłopca, nie się nie wstydz i bez rumieńca powiada: Wykładaj na stół swego longera, i że tak słaby widać biała”

Komentarze chyba zbędne. Obydwa występy godnie konkurują ze sobą...

Redaguje Zespół.

Adres redakcji ul. Wiejska 14, I pír., tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji ul. Wiejska 12, tel. 4-01-80... 90

Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch” Oddz w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO 1-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16; powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł 40 gr za 1 mm szerokości tamy. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa Poznańska 38, konto PKO 1-5589/110, tel. 7-38-05. Rekopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Włókielnicze RSW „Prasa” Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.